

JOHN STUART  
MILL



O WOLNOŚCI



Tytuł oryginału: On Liberty

Z angielskiego przełożył i przypisał Zdzisław Płoski.

ISBN: 978-83-289-0387-6

Polish edition copyright © 2024 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://onepress.pl/user/opinie/owolno>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [onepress@onepress.pl](mailto:onepress@onepress.pl)

WWW: <https://onepress.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# SPIS TREŚCI

Przedmowa .....	9
ROZDZIAŁ I.	
Wprowadzenie .....	23
ROZDZIAŁ II.	
O wolności myśli i dyskusji .....	39
ROZDZIAŁ III.	
O indywidualności jako jednym z elementów dobrostanu .....	81
ROZDZIAŁ IV.	
O granicach władzy społeczeństwa nad jednostką .....	101
ROZDZIAŁ V.	
Zastosowania .....	121
Przypisy końcowe .....	145

Wielką zasadą przewodnią, ku której bezpośrednio zbiegają wszystkie argumenty przedstawione na tych stronach, jest bezwzględne i podstawowe znaczenie rozwoju człowieka w jego najbogatszej różnorodności.

— Wilhelm von Humboldt,  
*W poszukiwaniu granic skuteczności państwa*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Tytuł oryginału: *Ideen zu einem Versuch, die Gränzen der Wirksamkeit des Staats zu bestimmen*. Tekst powstały w 1791 r. był solą w oku dla ówczesnej cenzury.

## ROZDZIAŁ II

# O wolności myśli i dyskusji

Miejmy nadzieję, że minęły już czasy, w których trzeba było bronić „wolności prasy” jako jednego z zabezpieczeń przeciw skorumpowanemu lub tyrańskiemu rządowi. Możemy przypuszczać, że nie trzeba już wytaczać żadnych argumentów przeciw temu, by władza ustawodawcza lub wykonawcza, nieutożsamiana z interesami ludzi, urabiała ich opinie i ustalała, jakie doktryny lub jakie argumenty wolno im słyszeć. Poza tym ten aspekt zagadnienia był tak często i tak tryumfalnie artykułowany przez poprzednich autorów, że nie ma potrzeby szczególnie akcentować go w tym miejscu. Aczkolwiek prawo angielskie jest w kwestii prasy do dziś tak samo uniżone jak za czasów Tudorów, istnieje niewielkie zagrożenie, że faktycznie zostanie wprowadzone w życie przeciw dyskusjom politycznym, z wyjątkiem przejściowych niepokojów, kiedy strach przed insurekcją pozbawia ministrów i sędziów poczucia przyzwoitości, i ogólnie biorąc, w krajach konstytucyjnych nie ma powodów do obaw, że rząd — niezależnie od tego, czy w pełni odpowiada przed ludem, czy nie — będzie często próbował kontrolować wyrażanie opinii, pomijając to, że dokonując takiego zamachu, staje się organem ogólnej nietolerancji ze strony narodu. Załóżmy więc, że rząd tworzy jedność z narodem i nigdy nie zamierza stosować żadnych nacisków lub przymusu, chyba że uzyska na to jego zgodę. Ja jednak odmawiam ludziom prawa do stosowania takiego przymusu — obojętne czy przez nich samych, czy przez ich rząd. Podobna temu władza sama przez się jest bezprawiem. Najlepszy rząd nie ma do tego więcej praw niż najgorszy. Stosowane zgodnie z opinią publiczną jest to na równi trujące, lub nawet jeszcze bardziej, niż wtedy, gdy jest robione w opozycji do niej.

Gdyby cała ludzkość, z wyjątkiem jednego człowieka, była jednego zdania, a tylko ów jeden mu przeczył, ludzkość nie byłaby bardziej usprawiedliwiona w uciszaniu tej jednej osoby, niż usprawiedliwiony byłby ktoś, kto miałby władzę, w uciszaniu ludzkości. Gdyby opinia była osobistą własnością, bez wartości [dla kogokolwiek] z wyjątkiem właściciela, gdyby obstrukcja w jej wyrażaniu była po prostu szkodą prywatną, prowadziłoby to do różnicy między tym, czy szkodę wyrządzono tylko kilku osobom, czy wielu. Wszakże szczególnie złem blokowania możliwości wyrażania opinii jest to, że okrada ono rasę ludzką — żyjących obecnie i przyszłe pokolenia. Tych, którzy nie zgadzają się z opinią, rabuje jeszcze bardziej niż tych, którzy ją wyznają. Jeśli opinia jest słuszna, pozbawia ono możliwości zamiany błędu na prawdę; jeśli jest błędna, jej posiadacze tracą okazję do jaśniejszego pojęcia i żywszego odbioru prawdy, wytworzonego przez jej zderzenie z błędem, co jest równie dużą korzyścią.

Konieczne jest osobne rozważenie tych dwóch hipotez, z których każda ma odrębną argumentację. Nigdy nie możemy być pewni, że opinia, którą usiłujemy stłumić, jest opinią fałszywą; a gdybyśmy byli pewni, tłumienie jej też byłoby złem.

Po pierwsze: opinia, którą władza usiłuje stłumić, może być prawdziwa. Jest jasne, że ci, którzy pragną ją stłumić, zaprzeczają jej prawdziwości, nie są jednak nieomylni. Nie mają prawa rozstrzygania danej kwestii w imieniu całego rodzaju ludzkiego i odbierania komukolwiek możliwości osądzenia. Odmówienie wysłuchania opinii z powodu pewności, że jest fałszywa, jest równoznaczne z przyjęciem, że *ich* pewność jest tożsama z pewnością *absolutną*. Wszelkie wyciszenie dyskusji oznacza założenie nieomyślności. Już ten argument wystarczy, aby je potępić, przy czym jego pospolitość nie ujmuje mu wagi.

Na nieszczęście dla zdrowego rozsądku człowieka znaczenie faktu, że jest omylny, jest w ludzkich osądach wysoce niedoceniane w praktyce, choć teoretycznie zawsze brane pod uwagę. Chociaż każdy dobrze wie, że jest omylny, niewielu uważa za konieczne podjęcie jakichkolwiek środków ostrożności

przeciw własnej omyślności lub założenie, że jakaś z opinii, co do której czują się bardzo pewni, może być jednym z przykładów błędów, na które, jak sami przyznają, są podatni. Absolutni książęta lub inni przyzwyczajeni do bezbrzeżnego szacunku zazwyczaj w pełni ufają swoim opiniom na niemal każdy temat. Ludzie lepiej sytuowani, którym zdarza się słyszeć, jak ich opinie są kwestionowane, a nie do końca nawykli, aby ich poprawiać, kiedy się myślą, tak samo polegają bezgranicznie tylko na tych swoich opiniach, które podzielają wszyscy z ich otoczenia lub którym z przyzwyczajenia są skłonni zaufać. Proporcjonalnie bowiem do braku zaufania do własnego, odosobnionego osądu człowiek zwykle pokłada ze ślełą wiarą nadzieję w ogólną nieomyślność „świata”. A świat dla każdej jednostki oznacza tę jego część, z którą się ona styka: jej partię, jej sekte, jej kościół, jej klasę społeczną; w porównaniu z tym niemal liberalnym i wielkomyślnym można nazwać człowieka, dla którego oznacza on coś tak ogólnego jak jego własny kraj lub wiek [w którym żyje]. I nie zachwieje tą wiarą w kolektywny autorytet to, że jest świadom, że w innych epokach, krajach, sektach, kościołach, klasach i stronnictwach myślano — a nawet dzisiaj myśli się — dokładnie na odwrót. Na ten swój własny świat zrzuca odpowiedzialność za posiadane racje wobec przeciwnych mu światów innych ludzi i nigdy go nie zaniepokoi, że zwykły przypadek zadecydował, który z tych licznych światów jest przedmiotem jego zaufania, i że z tych samych przyczyn, z których jest duchownym w Londynie, byłby buddystą lub konfucjanistą w Pekinie. Przy czym równie wieloma argumentami jak tę oczywistość można poprzec to, że i wieki nie są bardziej nieomyślne niż poszczególni ludzie. Każdy wiek utrzymywał wiele opinii, które następne epoki uznawały nie tylko za fałszywe, lecz za absurdalne. To, że wiele przekonań, obecnie tak powszechnych, będzie odrzuconych przez przyszłe wieki, jest równie pewne jak to, że wiele niegdyś rozpowszechnionych jest odrzuconych przez teraźniejszość.

Jest możliwe, że zarzuty, które można by wytoczyć przeciw tej argumentacji, przybrałyby kształt podobny następującemu. Z zakazu rozpowszechniania błędu nie większa przebija pewność siebie niż z jakiegokolwiek innej rzeczy, którą władza publiczna podejmuje na podstawie własnego osądu i odpowiedzialności. Zdolność sądzenia jest dana ludziom po to, aby mogli jej używać. Czy z tego względu, że może być użyta błędnie, należy ludziom mówić, że nie

powinni z niej w ogóle korzystać? Zakazywanie tego, co uważają za zgubne, nie jest deklaracją zwolnienia z błędu, lecz wypełnieniem spoczywającego na nich obowiązku — jeśli nawet błędnie, to jednak zgodnie z ich sumieniem. Gdybyśmy nigdy nie postępowali w myśl naszych przekonań, ponieważ mogą być błędne, musielibyśmy zostawić wszystkie nasze sprawy bez opieki, a nasze obowiązki — niewypełnione. Obiekcje odnoszone do całości postępowania mogą się okazać bezpodstawne w konkretnych przypadkach. Obowiązkiem rządów i jednostek jest wydawanie opinii możliwie najprawdziwszych, staranne ich formułowanie i nienarzucanie ich nigdy innym, chyba że mają zupełną pewność swoich racji. Gdy jednak pewności tej nabiorą (mogliby powiedzieć tak rozumujący), nie od sumienia zależy, lecz jest przejawem tchórzostwa, powstrzymywanie działania zgodnego z ich opiniami i pozwalanie, by doktryny, które szczerze uważają za groźne dla dobra człowieka — czy to w tym życiu, czy w innym — szerzyły się bez ograniczeń, dlatego że inni ludzie, w mniej oświeconych czasach, prześladowali opinie dziś uważane za słuszne. Baczmy, można by rzec, aby nie popełnić tego samego błędu; wszak rządy i narody popełniały błędy w innych sprawach, niezaprzeczalnie leżących w gestii władzy: nakładały nieuczciwe daniny, prowadziły niesprawiedliwe wojny. Czy zatem nie powinniśmy nakładać żadnych podatków i na żadną prowokację nie odpowiadać wojnami? Ludzie i rządy muszą działać najlepiej, jak potrafią. Nie ma czegoś takiego jak absolutna pewność, jest jednak jej stopień wystarczający do celów ludzkiego życia. Możemy i musimy zakładać, że nasza opinia jest prawdziwa, aby kierować naszym własnym postępowaniem; i nie ma w tym przesady, jeśli zabraniamy zepsutym ludziom deprawować społeczeństwo krzewieniem opinii, które uważamy za fałszywe i zgubne.

Odpowiadam, że jest w tym przesady znacznie więcej. Istnieje zasadnicza różnica między domniemaniem, że jakaś opinia jest prawdziwa, ponieważ przy żadnej okazji do jej podważenia nie została obalona, a przyjmowaniem jej prawdziwości w celu niedopuszczenia do jej obalenia. Całkowita swoboda zaprzeczania i obalania naszej opinii jest właśnie warunkiem, który usprawiedliwia nas w przyjmowaniu jej prawdziwości do celów działania; i w żadnym innym razie istota obdarzona ludzkimi zdolnościami nie może nabrać jakiegokolwiek racjonalnej pewności, że ma rację.



Rozważając historię opinii lub zwyczajny przebieg ludzkiego życia, czemu należy przypisać, że ani ta pierwsza, ani to drugie nie uległy pogorszeniu? Z pewnością nie wskutek wrodzonej siły ludzkiego pojmowania. W każdej bowiem sprawie, która w sposób oczywisty nie jest jasna, przypada dziewięćdziesiąt dziewięć osób całkowicie niezdolnych do jej osądzenia na jedną, która potrafi się z nią uporać. Także zdolność pojmowania stu osób jest tylko wartością porównawczą, gdyż większość wybitnych ludzi w każdym minionym pokoleniu wyznawała wiele poglądów, o których obecnie wiadomo, że były błędne, i robiła lub aprobowała wiele rzeczy, których nikt dziś by nie usprawiedliwił. Czemu zatem przypisać, że ogólnie wśród ludzi przeważają opinie racjonalne i także postępowanie? Jeśli przewaga ta rzeczywiście istnieje — a istnieć musi, inaczej sprawy ludzkie zawsze byłyby w niemal rozpaczliwym stanie — jest to spowodowane przymiotem ludzkiego umysłu, źródłem wszystkiego, co w człowieku jest godne szacunku jako istoty rozumnej i moralnej; tym mianowicie, że jego błędy są usuwalne. Potrafi naprawić swoje błędy poprzez dyskusję i doświadczenie. Nie samym doświadczeniem. Musi istnieć dyskusja, aby pokazać, jak należy interpretować doświadczenie. Błędne opinie i praktyki stopniowo ustępują faktom i argumentom. Aby jednak wywrzeć jakikolwiek wpływ na umysł, najpierw muszą być przedstawione fakty i argumenty. Bardzo mało faktów daje się wytłumaczyć bez komentarzy wydobywających ich znaczenie. Właśnie w tym jednym, w zdolności korygowania błędów, tkwi cała siła i wartość ludzkich sądów; można im ufać tylko wtedy, gdy środki do ich naprawy są stale pod ręką. Jak to się dzieje, że sądy danej osoby naprawę zasługują na zaufanie? Ponieważ miała umysł otwarty na krytykę swoich opinii i postępowania. Ponieważ praktykowała wysłuchiwanie wszystkiego, co można było jej zarzucić, potrafiła czerpać z tego tyle korzyści, ile było słuszne, i wyjaśniać sobie, a przy okazji i innym, błędność tego, co było błędne. Ponieważ czuła, że jedynym sposobem, którym istota ludzka może się przybliżyć do poznania całości problemu, jest słuchanie tego, co mogą o nim powiedzieć ludzie najrozmaitszych opinii, i studiowanie go ze wszystkich pozycji widzianych przez każdy rodzaj umysłowości. Żaden świątły człowiek nigdy nie zdobył swojej mądrości w inny sposób niż ten. Nie leży też w naturze ludzkiego intelektu nabywanie mądrości jakimkolwiek innym sposobem. Stały nawyk poprawiania i uzupełniania własnej opinii przez zestawianie jej

z opiniami innych, jakże daleki od rodzenia wątpliwości i wahań w stosowaniu jej w praktyce, jest jedyną trwałą podstawą uzasadnionego polegania na niej. Mając rozeznanie we wszystkim, co można — przynajmniej w sposób oczywisty — powiedzieć przeciwko niemu, i zajmując stanowisko wobec wszystkich oponentów ze świadomością, że poszukiwał zarzutów i trudności, zamiast ich unikać, i nie ominął żadnego światła, w którym można było ukazać dany temat od dowolnej strony, ma on [tak postępujący] prawo uważać swój osąd za lepszy niż wytworzony przez kogokolwiek lub jakiegokolwiek gremium z pominięciem podobnego procesu.

Nie jest wygórowanym wymaganiem, aby to, co najmądrzejsi z rodzaju ludzkiego, to jest ci, którzy mają największe prawo ufać własnym sądom, czuli się w obowiązku uzasadniania, na czym je opierają, owej kalejdoskopowej zbiorowości kilku mądrych i wielkiej liczbie głupich osobników, zwanej publiką. Kościół rzymskokatolicki, najbardziej nietolerancyjny z kościołów, nawet przy kanonizacji świętego dopuszcza i cierpliwie wysłuchuje „advokata diabła”. Wydaje się tedy, że najświętszy z ludzi nie może stać się godnym pośmiertnych zaszczytów, dopóki wszystko, co czart mógłby powiedzieć przeciwko niemu, nie zostanie poznane i rozważone. Nawet w odniesieniu do filozofii Newtona, gdyby nie pozwolono jej podważać, ludzkość nie nabrałaby całkowitej pewności co do jej prawd, którą ma obecnie. Przekonania, które uznajemy za najbardziej ugruntowane, nie na ich chronieniu są oparte, lecz na stałym zaproszeniu, skierowanym do całego świata, o udowodnienie, że są bezzasadne. Jeśli wyzwanie nie zostanie przyjęte lub zostanie przyjęte, ale próba się nie powiedzie, nadal będziemy dalecy od pewności. Zrobiliśmy jednak wszystko, na co pozwala istniejący stan ludzkiego rozumu. Nie zaniedbaliśmy niczego, co mogłoby dać szansę na dotarcie do prawdy. O ile lista chętnych do stanięcia w szranki pozostaje otwarta, możemy mieć nadzieję, że jeśli istnieje lepsza prawda, zostanie odkryta, gdy ludzki umysł będzie zdolny ją przyjąć. Tymczasem możemy polegać na osiągnięciu takiego zbliżenia do prawdy, jakie jest możliwe w naszych czasach. Jest to poziom pewności osiągalny dla istoty omylnej i jedyny sposób na jego osiągnięcie.

Dziwne jest, że ludziom wypada przyznawać słuszność argumentom na rzecz swobodnej dyskusji, jednak sprzeciwiają się „naciskaniu w niej do oporu”,

nie dostrzegając, że dopóki użyte argumenty nie wystarczą w skrajnym przypadku, nie są przydatne w żadnym. Dziwne, że potrafią pojąć niezakładanie nieomyślności, gdy przyznają rację swobodnej dyskusji na wszystkie tematy, które mogą budzić *wątpliwości*, a jednocześnie uważają, że należy zabronić podważania jakiejś szczególnej zasady lub doktryny, ponieważ jest ona *tak oczywista*, tzn. ponieważ *są pewni*, że jest pewna. Nazywać jakieś twierdzenie oczywistym, podczas gdy znalazłby się ktoś, kto zaprzeczyłby jego pewności, gdyby mu było wolno, ale mu się nie pozwala, to zakładać, że my sami i ci, którzy się z nami zgadzają, jesteśmy sędziami pewności, i to sędziami, którzy nie wysłuchają drugiej strony.

W obecnych czasach — określanym jako „odarte z wiary, a przy tym przeżalone sceptycyzmem” — w których ludzie są pewni nie tyle prawdziwości swoich opinii, ile tego, że nie wiedzą, co bez nich począc, żądania ochrony jakiejś opinii przed publicznym atakiem opierają się nie tyle na jej prawdziwości, co na jej znaczeniu dla społeczeństwa. Zwykło się uważać, że pewne istniejące przekonania są tak przydatne, by nie powiedzieć — niezbędne dla [społecznego] dobrostanu, iż obowiązkiem rządów jest podtrzymywanie ich na tej samej zasadzie jak chronienie każdego innego interesu społeczeństwa. W imię takiej konieczności i wynikającego z niej wprost obowiązku utrzymuje się, że coś mniej niż nieomyślność może upoważnić, a nawet zobowiązać rządy do działania według ich własnego widzenia rzeczy, umocnionego ogólnym mniemaniem ludzkości. Często argumentuje się również — a jeszcze częściej myśli — że nikt poza ludźmi złej woli nie chciałby osłabić tych zbawiennych przekonań. Jak również uważa się, że nie ma nic złego w powstrzymaniu złych ludzi i zakazywaniu tego, co tylko ludzie ich pokroju chcieliby wnieść do życia. Takie myślenie sprawia, że uzasadnienie ograniczeń w dyskusji nie jest kwestią prawdziwości doktryn, tylko ich użyteczności, jest folgowaniem sobie, złudzeniem ucieczki od odpowiedzialności za pretendowanie do bycia nieomyślnym sędzią opinii. Jednak ci, którym to wystarcza, nie dostrzegają, że założenie nieomyślności przesuwają się jedynie z jednego punktu w inny. Przydatność opinii sama w sobie jest kwestią opinii — tak samo dyskusyjną, tak samo otwartą na dyskusję i wymagającą dyskusji jak sama opinia. Istnieje taka sama potrzeba nieomyślnego sędzię opinii, aby uznać opinię za szkodliwą, jak do uznania, że jest fałszywa, chyba że potępiona opinia ma

pełną możliwość obrony. I nie wystarczy powiedzieć, że przecież heretykowi wolno zachować poczucie użyteczności lub nieszkodliwości jego opinii, mimo że zabroniono utrzymywania, że jest prawdziwa. Prawdziwość opinii jest częścią jej użyteczności. Gdybyśmy wiedzieli, czy jest pożądana, czy nie jest, aby dawać wiarę jakiemś twierdzeniu, czyż wykluczałoby to rozważania, czy jest ono prawdziwe, czy nie? To nie w opinii ludzi złych, lecz najzacniejszych, żadne przekonanie sprzeczne z prawdą nie może być naprawdę użyteczne. I czy możecie powstrzymać ludzi oskarżanych o zaprzeczanie jakiejś doktrynie, o której obwieszczono im, że jest pożyteczna, a którą uważają za fałszywą, od wysuwania tego zarzutu? Ci, którzy opowiadają się po stronie przyjętych opinii, nigdy nie omieszkają skorzystać z tego oskarżenia; nie znajdziesz *ich* posługujących się kwestią użyteczności, tak jakby można ją było całkowicie oddzielić od prawdy. Przeciwnie, dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że ich doktryna jest „prawdą”, a jej znajomość lub wiara w nią jest uważana za nieodzowną. Nie może być sprawiedliwej dyskusji na temat użyteczności, kiedy tak ważny argument może być użyty tylko przez jedną stronę, lecz nie przez drugą. W rzeczywistości, gdzie prawo lub opinia publiczna nie dopuszcza kwestionowania prawdziwości opinii, tam równie mało jest tolerancji wobec odmowy jej użyteczności. Pozwala się najwyżej na łagodniejsze podejście do jej absolutnej konieczności lub wyraźnej winy<sup>1</sup> tych, którzy ją odrzucają.

Aby pełniej zilustrować szkodliwość niezgody na wysłuchanie opinii z tego powodu, że według nas zasługują na potępienie, warto się skupić na konkretnym przypadku. Celowo wybieram przypadki dla mnie najmniej korzystne — takie, w których argument przeciw wolności opinii dotyczących zarówno prawdy, jak i użyteczności jest uważany za najsilniejszy. Niech więc podważanymi opiniami będzie wiara w Boga i życie wieczne lub któraś z powszechnie przyjętych doktryn moralnych. Spór na takim polu daje wielką przewagę nieuczciwemu oponentowi, ponieważ z pewnością powie (a wielu, którzy nie chcą być nie fair, powie to sobie w duchu): Czy to są doktryny, których nie uważasz za wystarczająco pewne, aby wziąć je pod ochronę prawa? Czy wiara w Boga jest jednym z poglądów, które twoim zdaniem wymagają założenia

---

<sup>1</sup> W oryginale *positive guilt*; połączenie rzadkie w angielskim, po polsku brzmi jak oksymoron.

nieomyślności? Pozwolę sobie jednak zauważyć, że tym, co nazywam założeniem nieomyślności, nie jest poczucie pewności doktryny (jakakolwiek by była). Chodzi o rozstrzygnięcie tej kwestii *za innych* bez zgody na usłyszenie, co ma do powiedzenia o tym strona przeciwna. W nie mniejszym stopniu demaskuję i potępiam to roszczenie, gdy je kto wysuwa pod adresem moich najgłębszych przekonań. Jakie by nie były pozytywne czyjeś przekonania, nie tylko co do fałszywości, ale i zgubnych skutków — i nie tylko skutków szkodliwych, lecz także (przyjmując określenia, które całkowicie potępiam) niemoralności i bezbożności danej opinii — jeśli dążąc do ugruntowania takiego prywatnego osądu, choć wspieranego przez osąd publiczny kraju lub współczesnych, ktoś taki nie dopuszcza do wysłuchania opinii w jej obronie, zakłada nieomyślność. I choć założenie to poczytuje się za mniej kontrowersyjne lub mniej niebezpieczne, jako że opinia jest nazywana niemoralną lub bezbożną, spośród wszystkich innych jest to przypadek najbardziej zgubny. Właśnie w takich sytuacjach ludzie jednego pokolenia popełniają te straszne błędy, które budzą zdumienie i przerażenie potomności. Wśród nich znajdują się pamiętne w historii przypadki, kiedy ramię prawa zostało użyte do wykorzenia najlepszych ludzi i najszlachetniejszych doktryn; z politowania godnym powodzeniem, jeśli chodzi o ludzi, chociaż niektóre z doktryn przetrwały, by być (o ironio!) przywoływane w obronie podobnego postępowania wobec tych, którzy nie zgadzają się z *nimi* lub z przyjętą ich interpretacją.

Nigdy nie jest za wiele przypominania ludziom, że był kiedyś człowiek imieniem Sokrates, między którym a prawowitą władzą i opinią publiczną jego czasów doszło do pamiętnego starcia. O nim, urodzonym w dobie i kraju obfitującym w wielkie indywidualności, z przekazu tych, którzy go znali najlepiej, wiemy, że był najcnotliwszym człowiekiem swej epoki. My natomiast znamy go jako niedościgniony wzór wszystkich późniejszych nauczycieli cnót, źródło zarówno wzniosłych natchnień Platona, jak i rozważnego utylitaryzmu Arystotelesa — *i maestri di color che sanno*<sup>2</sup>, dwóch źródeł etyki, jak i wszelkiej innej filozofii. Ten uznany mistrz wszystkich znakomitych myślicieli, którzy żyli od tamtej pory, o sławie wciąż rosnącej po ponad dwóch tysiącletniach,

---

<sup>2</sup> W wolnym przekładzie z włoskiego: mistrzowie mędrców (tych, którzy wiedzą). Zob. Dante Alighieri, *Commedia*, księga IV, w. 131; por. przekład Juliana Korsaka.

przycmiewającej niemal wszystkie pozostałe nazwiska, które rozślały jego rodzinne miasto, został skazany na śmierć przez swoich rodaków wyrokiem sądowym za bezbożność i niemoralność. Bezbożność polegającą na zaprzeczeniu bogom uznanym przez państwo; zaiste, jego oskarżyciel zaręczył (zobacz *Apologia*<sup>3</sup>), że w ogóle nie wierzył w żadnych bogów. Niemoralność z tego się biorąca, że jego doktryny i nauczanie uczyniły go „deprawatorem młodzieży”. Z powodu tych zarzutów trybunał, co do którego istnieją wszelkie podstawy, że sądził uczciwie, uznał go za winnego i skazał na śmierć jako zbrodniarza — człowieka, który prawdopodobnie ze wszystkich wówczas urodzonych przysłużył się najlepiej ludzkości.

Przejdźmy teraz do innego przykładu sądowej niegodziwości, jedyne takiego, o którym wzmianka po potępieniu Sokratesa nie będzie zaskoczeniem — do wydarzenia, które miało miejsce na Kalwarii przeszło tysiąc osiemset lat temu. Człowiek, który pozostawił w pamięci świadków jego życia i tego, co głosił, takie wrażenie moralnej wielkości, że osiemnaście kolejnych wieków oddało mu hołd jako uosobionej Wszechmocy, został haniebnie uśmiercony. Jako kto? Jako bluźnierca. Ludzie, nie dość, że nie rozpoznali w nim swego dobroczyńcy, to jeszcze wzięli go za dokładne przeciwieństwo tego, czym był, i potraktowali go jako monstrum bezbożności, za co ich samych obarcza się teraz tym zarzutem. Uczucia, z jakimi ludzkość patrzy obecnie na te żałosne historie, zwłaszcza na drugą z nich, obnażają skrajną niesprawiedliwość w ocenie ich niefortunnych aktorów. Nie wyglądali na złych, nie byli gorsi od innych zwykłych ludzi. Wręcz przeciwnie — byli to ludzie pełni, a może nawet bardziej, uczuć religijnych, moralnych i patriotycznych; na miarę swoich czasów i swoich bliźnich. Byli właśnie ludźmi tego rodzaju, którzy we wszystkich czasach — również w naszych — mają wszelkie szanse przejść przez życie bez skazy i w poszanowaniu. Arcykapłan, który rozdarł swe szaty, gdy padły słowa, które wedle wszystkich pojęć jego kraju stanowiły najczarniejszą winę, był najprawdopodobniej równie szczery w swej grozie i oburzeniu jak dzisiaj ogół czcigodnych i pobożnych ludzi w wyznawanych przez siebie sentymentach religijnych i moralnych; i oni, wzdragający się

---

<sup>3</sup> Chodzi o *Obronę Sokratesa*, spisane przez Platona trzy mowy, które Sokrates wygłosił na procesie w 399 r. p.n.e.

obecnie na myśl o jego postępowaniu, gdyby żyli w jego czasach i urodzili się Żydami, postąpiliby w większości tak jak on. Ortodoksyjni chrześcijanie, którzy są skłonni sądzić, że ci, którzy ukamienowali pierwszych męczenników, musieli być gorszymi ludźmi od nich, powinni pamiętać, że jednym z tych prześladowców był św. Paweł.

Dodajmy jeszcze jeden przykład, najbardziej uderzający ze wszystkich, jeśli wielkość błędu zestawić z mądrością i cnotą tego, komu się przytrafia. Jeśli kiedykolwiek ktoś posiadający władzę miał podstawy uważać się za najlepszego i najbardziej światłego spośród mu współczesnych, to był nim cesarz Marek Aureliusz. Jako absolutny monarcha całego cywilizowanego świata zachował przez całe życie nie tylko najczystsze poczucie sprawiedliwości, ale także — czego mniej można się było spodziewać po jego stoickim wychowaniu — najwrażliwsze serce. Nieliczne przypisywane mu wady płynęły z jego pobłażliwości; natomiast to, co uwiecznił na piśmie<sup>4</sup>, najwyższy etyczny produkt starożytnego umysłu, różni się ledwie dostrzegalnie, jeśli w ogóle się różni, od najbardziej charakterystycznych nauk Chrystusa. Ten człowiek, lepszy chrześcijanin<sup>5</sup> we wszystkim, wyjąwszy dogmatyczne znaczenie tego słowa, od niemal wszystkich rzekomo chrześcijańskich władców, którzy od tamtej pory panowali, prześladował chrystianizm<sup>6</sup>. Stojący u szczytu wszystkich dotychczasowych osiągnięć ludzkości, z otwartym, nieskrępowanym umysłem i charakterem, który zawiódł go do ucieleśnienia w swoich pismach moralnych ideałów chrześcijaństwa, nie zdołał jednak dostrzec, że chrystianizm miał być dobrem, a nie złem dla świata, wobec którego obowiązki tak głęboko

---

<sup>4</sup> *Rozmyślania* (tytuł stosowany w polskich przekładach), dzieło warte namysłu w każdym czasie.

<sup>5</sup> W sensie etycznym; Marek Aureliusz nie był członkiem żadnej z gmin chrześcijańskich kościoła z II wieku n.e.

<sup>6</sup> W tym brzmieniu teza ta była i jest podważana przez historyków (w polskiej Wikipedii jest o tym tylko jedno zdanie, w angielskiej cały akapit). W jedynym dziele Marka, w *Rozmyślaniach*, odniesienie do chrześcijan pada tylko jeden raz; w zdaniu dotyczącym odłączenia się, zgaśnięcia lub rozproszenia duszy rozumnej: „Była ta gotowość szła z własnego postanowienia, nie przez prosty upór, jak u chrześcijan, ale w sposób rozumny i poważny, i tak, by innego mogła przekonać, bez maski tragicznej” [księga XI, akapit 3, przekł. Marian Reiter, Warszawa 1937].

go pochłaniały. Wiedział, że istniejące społeczeństwo jest w oplakany stan. Lecz tak, jak to widział, lub wydawało mu się, że widzi, utrzymaniu go w spójności i niedopuszczeniu do dalszego jego pogorszenia miały służyć wiara i oddawanie czci już utrwalonym bóstwom<sup>7</sup>. Jako władca ludzkości uważał za swój obowiązek niedopuszczenie do rozpadu społeczeństwa; i nie wyobrażał sobie, jakim sposobem, gdyby usunięto więzy już je spajające, dałoby się zastąpić je innymi, mogącymi służyć ponownemu połączeniu. Nowa religia otwarcie dążyła do zerwania tych więzów. Nie czując się zatem w obowiązku ją wdrażać, uznał za swój obowiązek ją oddalić. Tym bardziej że teologia chrystianizmu nie wydawała mu się prawdziwa ani boskiego pochodzenia. Ta dziwna historia ukrzyżowanego Boga nie była dla niego wiarygodna, a rzekome fundamenty systemu uznał w całości za tak niestworzone, że w jego pojmowaniu system ów nie mógł stać się zaczynem odnowy, którym — po wszystkich potrąceniach — w końcu się okazał. Najłagodniejszy i najbardziej kochany z filozofów i władców w najpoważniejszym poczuciu obowiązku zezwolił na prześladowanie chrystianizmu. Moim zdaniem jest to jeden z najbardziej tragicznych faktów w całej historii. Z goryczą przychodzi pomyśleć, jak inne mogłoby być chrześcijaństwo na świecie, gdyby wiara chrześcijańska została przyjęta jako religia cesarstwa pod auspicjami Marka Aureliusza, a nie Konstantyna. Jednak równie niesprawiedliwe i fałszywe byłoby w przypadku Marka Aureliusza przeczenie, iżby brakowało mu argumentów, które przemawiałyby za ukaraniem nauki antychrześcijańskiej, jak postąpił wobec szerzenia chrześcijaństwa. Żaden chrześcijanin nie wierzy żarliwiej, że ateizm jest fałszywy i że zmierza do rozpadu społeczeństwa, niż dawał wiarę temu aspektowi chrystianizmu Marek Aureliusz — on, którego ze wszystkich żyjących wówczas ludzi można było uważać za najzdolniejszego do jego docenienia. Jeśli ktoś, kto próbuje karanie za głoszenie opinii, nie pochlebia sobie, że jest człowiekiem mądrzejszym i lepszym niż Marek Aureliusz, głębiej zorientowanym w mądrości swoich czasów, umysłem ponad nią wybiegającym, gorliwszym w poszukiwaniu prawdy lub bardziej jej oddanym, gdy zostanie odkryta, to

---

<sup>7</sup> Podkreślany przez wielu polityków tamtych, i nie tylko tamtych, czasów argument „wiary ojców”.



niech z dała się trzymać od przyjęcia, że ma, wspólnie z masą, patent na nieomylność, co wielki Antoninus<sup>8</sup> uczynił z tak niefortunnym skutkiem.

Świadomi niemożności obrony stosowania kar w celu powstrzymania niereligijnych opinii jakimkolwiek argumentem, który by nie usprawiedliwiał Marka Antoninusa, wrogowie wolności religijnej, przyciśnięci do muru, akceptują niekiedy tę konsekwencję i mówią, wraz z dr. Johnsonem<sup>9</sup>, że prześladowcy chrześcijaństwa byli w prawie; że prześladowanie jest męką, przez którą prawda musi przejść, co zawsze kończy się dla niej pomyślnie, a nakładane prawnie kary stają się w końcu bezsilne wobec prawdy, chociaż czasami są zbawienne wobec zgubnych błędów. Jest to forma argumentowania za nietolerancją religijną, wystarczająco godna uwagi, by jej nie pomijać.

Teorii, według której prawda może być słusznie prześladowana, ponieważ prześladowanie nie może jej w żaden sposób zaszkodzić, nie można zarzucić celowej wrogości wobec przyjmowania nowych prawd. Nie możemy jednak pochwalić przesady w takim postępowaniu względem osób, którym ludzkość jest za nie wdzięczna. Odkrycie przed światem czegoś, co go głęboko dotyczy, a czego wcześniej nie wiedział, udowodnienie mu, że się mylił w jakiejś ważnej kwestii doczesnej lub duchowej, jest tak ważną przysługą, którą istota ludzka może oddać swoim bliźnim, a czasami, jak w przypadku pierwszych chrześcijan i reformatorów<sup>10</sup>, myślący podobnie jak dr. Johnson uważają, że był to najcenniejszy dar, jaki mógł być ofiarowany ludzkości. Żeby autorom tak wspaniałych dobrodziejstw odpłacać męczeństwem, za nagrodę mieć dla nich traktowanie jak najpodlejszych zbrodniarzy, nie jest — zgodnie z tą teorią — godnym ubolewania błędem i nieszczęściem, za które ludzkość powinna w worku pokutnym i popiele boleć, ale normalnym i usprawiedliwionym stanem rzeczy.

---

<sup>8</sup> Antoninus — trzecie z czterech imion Marka, odzwierciedlające spowinowacenie z jego poprzednikiem, cesarzem Antoninusem Piusem.

<sup>9</sup> Trudno orzec, czy chodzi tu o Samuela Johnsona (1709 – 1784), „dr. Johnsona”, pisarza, poetę, autora sztuk scenicznych, eseistę, krytyka literackiego, semiotyka, leksykografa, edytora i moralistę, czy o kogoś współczesnego Millowi.

<sup>10</sup> Były dziesiątki reformatorów protestanckich, a wśród nich co najmniej dziesięciu znamienitych prekursorów: od VIII (Klaudiusz z Turynu) do XV w. (Jan Hus), zob. [en.wikipedia.org/wiki/Protestant\\_Reformers](http://en.wikipedia.org/wiki/Protestant_Reformers).

Zgodnie z tą doktryną podawca nowej prawdy powinien stać tak, jak stał w prawodawstwie Lokryjczyków<sup>11</sup> wnoszący nowe prawo: ze stryczkiem na szyi, który należało natychmiast zacisnąć, gdyby zgromadzenie publiczne po wysłuchaniu jego racji, wtedy i tam, nie przyjęło jego propozycji. Po ludziach, którzy bronią takiego sposobu traktowania dobroczyńców, nie można się spodziewać, że przywiążą dużą wagę do dobrodziejstw; a mniemam, że takie spojrzenie na problem ogranicza się głównie do osób, które uważają, że nowe prawdy mogły być kiedyś pożądane, ale teraz mamy już ich dość.

Wszakże powiedzenie, że prawda zawsze tryumfuje nad prześladowaniem, jest w istocie jednym z tych miłych kłamstw, które ludzie powtarzają jeden za drugim, aż dojdą do banału, któremu przeczy całe doświadczenie. Historia obfituje w przypadki prawdy obalonej prześladowaniami. Jeśli nie zostanie starta na zawsze, może zostać odrzucona na wieki. Weźmy tylko przekonania religijne. Reformacja wybuchła co najmniej dwadzieścia razy przed Lutrem i została stłumiona. Z Arnoldem z Brescii skończono<sup>12</sup>. Z Fra Dolcino skończono<sup>13</sup>. Z Savonarolą skończono<sup>14</sup>. Albigensów wytepiiono. Waldensów zdławiono. Lollardów pokonano. Husytów obalono. Nawet po epoce Lutra prześladowania, gdziekolwiek trwały, odnosiły sukcesy. W Hiszpanii, we Włoszech, we Flandrii, w Cesarstwie Austrii protestantyzm został wykorzeniony. I najprawdopodobniej byłoby tak w Anglii, gdyby żyła królowa Maria lub umarła królowa Elżbieta. Prześladowania zawsze odnosiły pożądany skutek z wyjątkiem przypadków, gdy heretycy byli zbyt silną partią, aby efektywnie ich gnębić. Nikt rozsądny nie może wątpić, że chrześcijaństwo mogło być wytepienie w Cesarstwie Rzymskim. Rozprzestrzeniło się i stało się w końcu dominujące dlatego, że prześladowania były tylko sporadyczne, trwały przez krótki

---

<sup>11</sup> Lokryjczycy — plemię przybyłe do Grecji w II w. p.n.e., osiadłe wokół gór Parnasu.

<sup>12</sup> Tego włoskiego duchownego (ur. ok. 1090 r.) wyrokiem Kurii Rzymskiej powieszono (a ciało spalono) w 1155 r. za nawoływanie Kościoła do wyrzeczenia się dóbr i przywilejów oraz rezygnacji episkopatu z władzy świeckiej; wcześniej musiał uciekać za próbę oczyszczenia tej instytucji z symonii, czyli handlowania dobrami i stanowiskami kościelnymi.

<sup>13</sup> Wyrokiem inkwizycji brat Dulcyn po torturach splonął na stosie, nie samotnie, w 1307 r.

<sup>14</sup> Girolamo Savonarolę Święta Inkwizycja powiesiła i spaliła w 1498 r.

czas i oddzielone długimi przerwami prawie niezakłóconego propagandyzmu. Jest coś z próżnej sentymentalności w twierdzeniu, że w prawdzie, po prostu w niej samej, tkwi jakaś wrodzona moc przewyciężenia lochu i stosu, której odmawia się błędowi. Ludzie nie są do prawdy bardziej skorzy niż — nieraz — do błędu, a odpowiednie represje prawne, a nawet społeczne, na ogół skutecznie powstrzymują propagowanie jednego i drugiego. Rzeczywista przewaga prawdy polega na tym, że jeśli opinia jest prawdziwa, można ją wytepić raz, dwa lub wiele razy, lecz z biegiem wieków zwykle znajdują się tacy, którzy ją odkryją na nowo, aż kiedyś jej ponowne pojawienie się przypadnie na czas, gdy w sprzyjających okolicznościach uniknie prześladowań dopóty, dopóki nie osiągnie takiej siły, by oprzeć się wszelkim późniejszym próbom jej zduszenia.

Powiedzą: już nie zabijamy głosicieli nowych opinii, nie jesteśmy jak nasi ojcowie, którzy uśmiercali proroków, nawet budujemy im grobowce. Prawdą jest, że nie skazujemy już heretyków na śmierć; a dotkliwość kar za nawet najohydniejsze poglądy — takich, które prawdopodobnie dałoby się znieść obecnie — nie wystarczy do ich wykorzenia. Niemniej, nie pochlebiamy sobie, że nie płamą nas już nawet prawne prześladowania. Kary za opinię, a przynajmniej za jej wyrażanie, nadal są przewidziane w prawie, a ich egzekwowanie nie jest, nawet w obecnych czasach, tak bezprecedensowe, aby nie dopuszczać myśli, że pewnego dnia mogą odżyć z pełną mocą. W roku 1857, podczas letniej rozprawy sądowej w hrabstwie Kornwalia, nieszczęśnik<sup>ii</sup>, o którym mówiono, że zachowywał się nienagannie we wszystkich sytuacjach życiowych, został skazany na dwadzieścia jeden miesięcy aresztu za wypowiedzenie i napisanie na bramie kilku obraźliwych słów pod adresem chrześcijaństwa. W ciągu miesiąca, w tym samym czasie, w Old Bailey przy dwu różnych okazjach<sup>iii</sup> odmówiono dwóm osobom miejsca na ławie przysięgłych, przy czym jedna z nich została rażąco znieważona przez sędziego i jednego z asesorów, ponieważ uczciwie oświadczyły, że nie mają żadnych teologicznych przekonań; a trzeciemu, cudzoziemcowi<sup>iv</sup>, z tego samego powodu odmówiono sprawiedliwości wobec złodzieja. Podstawą do odmowy wszczęcia postępowania była zasada prawna, według której do składania zeznań przed sądem nie wolno dopuścić nikogo, kto nie wyznaje wiary w Boga (wystarczy jakikolwiek bóg) i w życie pozagrobowe, co jest równoznaczne z uznaniem takich osób za wyjęte spod prawa, wyłączone spod ochrony trybunałów. Można je

nie tylko bezkarnie okraść lub napaść, jeśli nie ma przy tym nikogo prócz nich samych lub osób o podobnych poglądach, lecz każdy inny może być bezkarnie okradziony lub napadnięty, jeżeli dowód faktu zależy od ich zeznań. Opiera się to na założeniu, że przysięga osoby niewierzącej w żywot pośmiertny jest bezwartościowa. Założenie to świadczy o dużej niezajomości historii tych, którzy je przyjmują (ponieważ jest prawdą historyczną, że niewierzący we wszystkich wiekach w dużej części wyróżniali się uczciwością i honorem), i nie uznałby go nikt, kto ma choćby najmniejsze pojęcie, jak wiele osób cieszących się największą estymą w świecie — zarówno ze względu na cnoty, jak i osiągnięcia — jest dobrze znanych, przynajmniej przez ich zaufanych, jako niewierzący. Reguła ta jest zresztą samobójcza i podkopuje własną podstawę. Pod pretekstem, że ateści muszą być kłamcami, dopuszcza zeznania wszystkich ateistów, którzy chcą kłamać, a odrzuca tylko tych, którzy mają odwagę objawić znienawidzone credo wbrew publicznej wzdarcie, zamiast podpisać się pod kłamstwem. Tak ewidentnie dowodząca własnego absurdu zasada, zważywszy jej deklarowany cel, może być utrzymywana w mocy tylko jako oznaka nienawiści, relikwitu prześladowania. I to prześladowania o tej [perfidnej] specyfice, że kwalifikacją do jego doświadczenia jest jednoznaczne wykazanie, że się na nie nie zasługuje. Zasada ta, i wynikająca z niej teoria, nie mniej niż niewierzącym urąga wierzącym. Bo jeśli ten, kto nie wierzy w żywot wieczny, kłamie z konieczności, wynika z niej, że tych, którzy wierzą, przed kłamstwem powstrzymuje (o ile w ogóle powstrzymuje) jedynie strach przed piekłem<sup>15</sup>. Nie skrzywdzimy autorów tej zasady i nakłaniających ku niej, zakładając, że źródłem pojmowania przez nich cnót chrześcijańskich była ich własna świadomość.

Są to w istocie tylko strzępy i pozostałości po prześladowaniach i można je uważać nie tyle za oznakę chęci prześladowania, ile za przykład owej bardzo częstej ułomności angielskich głów, czerpiących nedorzeczną przyjemność z uznawania złej zasady nawet wówczas, gdy przeszła im ochota, żeby ją rzeczywiście wprowadzać w życie. Niestety, nie ma jednak pewności, zwiąszy stan świadomości społecznej, że zawieszenie gorszych form legalnych

---

<sup>15</sup> Nie dlatego czynisz dobro, że oczekujesz nagrody, i nie dlatego nie czynisz zła, że się obawiasz kary. Starasz się...

prześladowań, które trwały mniej więcej od pokolenia, będzie utrzymane. W obecnych czasach spokojne wody rutyny są równie często mącone próbami wskrzeszania starych demonów, jak i wprowadzania nowych dobrodziejstw. To, co się obecnie ma za szczytne odrodzenie religii, w ciasnych i nieedukowanych głowach rozbudza na nowo — co najmniej w tym samym stopniu — bigoterię. A gdy wśród ludzi istnieje silna i trwała ciągota do nietolerancji — wciąż ona mieszka w klasach średnich tego kraju — niewiele trzeba, aby ich sprowokować do czynnego prześladowania tych, których nigdy nie przestali uważać za obiekty odpowiednie do prześladowań<sup>v</sup>. Bo tak się mają rzeczy, że właśnie przez te żywione i pielęgnowane przez ludzi opinie i uczucia w odniesieniu do tych, którzy odrzucają przekonania ich zdaniem ważne, ten kraj nie jest miejscem wolności umysłowej. Od dawna główną wadą kar prawnych jest to, że wzmacniają społeczne stygmatyzowanie. Owo piętnowanie jest naprawdę skuteczne, i to tak skuteczne, że wyrażanie opinii zakazanych przez społeczeństwo jest znacznie mniej powszechne w Anglii niż w wielu innych krajach wyznawanie tych, które pociągają za sobą ryzyko kar sądowych. W odniesieniu do wszystkich osób, z wyjątkiem tych, których sytuacja majątkowa czyni je niezależnymi od dobrej woli innych, opinia społeczna w takich przypadkach jest tak samo skuteczna jak prawo — ludzie równie dobrze mogą trafić do więzienia, jak i zostać pozbawieni środków do zarabiania na chleb. Ci, którzy mają już chleb zapewniony i którzy nie potrzebują łaski od ludzi u władzy, od korporacji lub od społeczeństwa, nie mają się czego obawiać z powodu otwartego wyznawania jakichkolwiek opinii — najwyżej inni będą o nich źle myśleć lub mówić, a do tego nie trzeba wielkiego heroizmu. W odniesieniu do nich zbędne są apelacje *ad misericordiam*<sup>16</sup>. Choć więc obecnie nie wyrządzamy tyle zła myślącym inaczej, jak to mieliśmy dawniej w zwyczaju, może tak być, że przez ich traktowanie wyrządzamy sobie tyle samo zła co zawsze. Sokrates został skazany na śmierć, lecz filozofia sokratejska weszła jak słońce na niebie, rozświetlając cały intelektualny firmament. Chrześcijan rzucano lwom na pożarcie, jednak kościół chrześcijan wyrósł na okazale i rozłożył się na drzewo, przerastając starsze, mniej bujne gałęzie i dusząc je swym cieniem. Nasza zwyczajna nietolerancja

---

<sup>16</sup> Z łac. [odwoływanie się] do miłosierdzia, [prośnienie] o okazanie łaski.

społeczna nikogo nie zabija, nie wykorzenia żadnych opinii, ale skłania ludzi do ich maskowania lub powstrzymywania się od robienia czegokolwiek, aby ułatwić ich przenikanie do ogółu. U nas heretyckie opinie nie zyskują zauważalnie na sile z upływem dekad czy pokoleń; ani nawet nie tracą. Nigdy nie płoną daleko i szeroko, tłąc się tylko nieustannie w wąskich kręgach ludzi myślących i refleksyjnych, gdzie powstają, nigdy nie oświetlając ogólnych spraw ludzkości ani prawdziwym, ani zwodniczym światłem. W ten sposób utrzymuje się stan rzeczy bardzo zadowalający niektóre umysły, jako że bez niemilego procesu karania kogokolwiek grzywną lub więzieniem żadna z panujących opinii nie zostaje naruszona, a jednocześnie nie zabrania się całkowicie korzystania z rozumu przez dysydentów dotkniętych chorobą myślenia. Wygodny to plan utrzymywania pokoju w świecie intelektualnym i pilnowania, aby wszystko, co się w nim dzieje, działo się tak jak dotychczas. W imię tego rodzaju stanu intelektualnego uspokojenia przychodzi jednak poświęcić całą moralną odwagę ludzkiego umysłu. Sytuacja, w której duża część najaktywniejszych i najdocieklewszych umysłów uważa za wskazane trzymanie prawdziwych zasad i podstaw swoich przekonań we własnych piersiach, a zwracając się do publiczności, stara się własne wnioski dopasować najbardziej, jak tylko to możliwe, do przesłanek, których wewnętrznie się wyrzekli, blokuje ujawnianie się otwartych, nieustraszonych postaci i logicznych, konsekwentnych umysłów, które niegdyś zdobyły myślący świat. Ludzie, których można w takiej sytuacji się spodziewać, to albo zwykli konformiści, albo serwujący prawdy stosowne do czasów; ich argumenty dotyczące wszelkich wielkich tematów są przeznaczone dla ich słuchaczy, lecz ich samych nie przekonują. Chcący uniknąć takiej drogi zawężają swoje myśli i zainteresowania do rzeczy, o których można mówić bez zapuszczania się w obszar zasad, czyli do drobnych spraw praktycznych, które same by się potoczyły, gdyby tylko ludzie wzmocnili i rozszerzyli swoje umysły, a które nigdy nie zostaną skutecznie załatwione, póki to nie nastąpi. Tymczasem to, co mogłoby umysły ludzkie wzmocnić i poszerzyć — nieskrępowane i śmiałe spekulacje na najwyższe tematy — jest porzucane.

Ci, w których oczach ta powściągliwość ze strony heretyków nie jest złem, powinni przede wszystkim wziąć pod uwagę, że w konsekwencji tego nigdy nie ma uczciwej i gruntownej dyskusji na temat heretyckich opinii; i że te

z nich, które nie przetrwałyby takiej dyskusji, mimo zapobiegania ich szerzeniu, nie znikną. Jednak to nie umysły heretyków są najbardziej zepsute przez zakaz nałożony na wszelkie badania, które nie prowadzą do ortodoksyjnych wniosków. Największą krzywdę wyrządza się tym, którzy nie są heretykami, a których cały rozwój umysłowy jest krępowany i rozum zastrasza obawą przed herezją. Któż obliczy, ile świat traci, kiedy mnóstwo obiecujących umysłów, lecz o potulnych charakterach, nie ośmiela się podążyć za żadnym śmiałym, energicznym, niezależnym tokiem myśli, aby nie popaść w coś, co mogłoby być uznane za niereligijne lub niemoralne? Wśród nich możemy czasem napotkać człowieka niezwykle sumiennego, o subtelnym i wyrafinowanym pojmowaniu, który — usiłując pogodzić podszepty sumienia i rozumu z ortodoksją — trawi życie na próbach sofistycznych uzasadnień, a nie mogąc postawić im tamy, wyczerpuje bezowocnie zasoby pomysłowości, być może upatrując w tym sposób na ich zakończenie. Nie może być wielkim myślicielem, kto nie uznaje, że jego pierwszym obowiązkiem jako myśliciela jest podążanie za swoim intelektem niezależnie od wniosków, do których może to prowadzić. Prawda zyskuje więcej nawet na błędach tego, kto należycie wykształcony i przygotowany myśli samodzielnie, niż na szczerych opiniach tych, którzy trzymają się ich tylko dlatego, że nie cierpią myśleć. Wolność myślenia jest potrzebna nie wyłącznie ani nie głównie do kształtowania wielkich myślicieli. Przeciwnie, jest równie, a nawet bardziej niezbędna, aby umożliwić przeciętnym ludziom osiągnięcie takiego poziomu umysłowego, do którego są zdolni. Byli i mogą znów się pojawić wielcy poszczególni myśliciele, żyjący w ogólnej atmosferze mentalnego zniewolenia. Nigdy jednak w takiej atmosferze nie było i nie będzie aktywnego intelektualnie narodu. Gdziekolwiek jakiś naród zbliżył się, choćby na krótko do takiej postaci, stało się to dzięki temu, że strach przed heterodoksyjną<sup>17</sup> spekulacją został na pewien czas powstrzymany. Tam, gdzie istnieje milczący kontrakt, że zasad nie należy kwestionować, gdzie dyskusję nad najważniejszymi zagadnieniami, które mogą zaprzętać ludzkość, uważa się za zamkniętą, nie możemy się spodziewać owego ogólnie wysokiego ożywienia umysłowego, które uczyniło

---

<sup>17</sup> Heterodoksyjni: dotyczący wyznawania poglądów odmiennych od oficjalnej doktryny religijnej.

pewne okresy historii tak godnymi podziwu. Nigdzie tam, gdzie omijano kontrowersyjne tematy, wystarczająco duże i ważne, by wzbudzić zapał, umysły ludzi nie zostały poruszone do głębi i nie powstał impuls, który nawet osoby o najwykleszym intelekcie podniósłby do rangi istot myślących. Mieliśmy taki przykład w sytuacji Europy, która wystąpiła tuż po reformacji. Innym — choć ograniczonym do kontynentu i klasy bardziej wykształconej — przykładem był ruch spekulatywny w drugiej połowie XVIII wieku. Trzecim, trwającym jeszcze krócej, było intelektualne wzmoczenie w Niemczech, w okresie Goethego i Fichtego<sup>18</sup>. Okresy te różniły się znacznie poszczególnymi poglądami, które w nich rozwinęto, były jednak podobne w tym, że we wszystkich trzech jarzmo władzy zostało złamane. W każdym z nich stary despotyzm mentalny został odrzucony, a żaden nowy jeszcze nie zajął jego miejsca. Impuls powstały w tych trzech okresach uczynił Europę tym, czym jest teraz. Każdą pojedynczą zmianę na lepsze, która dokonała się w ludzkim umyśle lub w instytucjach, można wyraźnie przypisać do któregoś z nich. Od pewnego czasu wygląda na to, że wszystkie te trzy impulsy są prawie wyczerpane; i nie możemy się spodziewać nowego początku, dopóki ponownie nie zagwarantujemy naszej wolności umysłowej.

Przejdźmy teraz do drugiej części wywodu i odrzucając przypuszczenie, że niejedna z przyjętych opinii może być fałszywa, przyjmijmy, że są one prawdziwe, i przyjrzymy się, ile warta jest metoda ich utrzymywania, jeśli ich prawdziwości nie poddaje się swobodnej i otwartej ocenie. Bez względu na to, z jak wielką niechęcią ktoś mocno przekonany do swojej opinii przyznałby, że może ona być fałszywa, powinno dać mu do myślenia, że nawet gdyby była prawdziwa, jeśli nie będzie w pełni, często i odważnie dyskutowana, pozostanie martwym dogmatem, a nie żywą prawdą.

Istnieje kategoria ludzi (na szczęście nie tak liczna jak dawniej), którzy uważają, że wystarczy, jeśli ktoś bez zastrzeżeń aprobuje to, co ich zdaniem jest prawdą, choć nie ma żadnej wiedzy o podstawach danej opinii i nie potrafiłby jej obronić przed najbardziej płytkimi zarzutami. Tacy ludzie, gdy tylko poczują wsparcie władzy w ich wierze, myślą oczywiście, że ze zgody na jej

---

<sup>18</sup> Johann Gottlieb Fichte (1762 – 1814), filozof niemiecki, twórca podstaw ruchu zwanego niemieckim idealizmem.



podważanie nie wynika nic dobrego, a przeciwnie — szkoda. Tam, gdzie mają przeważające wpływy, praktycznie uniemożliwiają odrzucenie panującej opinii w sposób mądry i uzasadniony, chociaż nadal może ona upaść gwałtownie i bezrozumnie; rzadko bowiem da się całkowicie wykluczyć dyskusję, a kiedy już do niej dojdzie, przekonania pozbawione pewności zwykle upadają pod najmniejszym pozorem dowodu. Rezygnacja jednak z tej możliwości — zakładając, że prawdziwa opinia zaprzęta umysł, lecz pozostaje w nim jako przesąd, przekonanie głuche na argumenty i dowód jego nieprawdziwości — nie jest drogą, którą rozumna istota powinna dochodzić do prawdy. Nie jest poznawaniem prawdy. Tak pojmowana prawda jest niczym więcej jak zaboronem kurczowo czepiającym się słów artykułujących prawdę.

Jeśli rozum i rozsądek człowieka winny być doskonałe, czemu przynajmniej protestanci nie zaprzeczają, to co jest odpowiedniejsze do ćwiczenia tych zdolności aniżeli to, co obchodzi każdego tak bardzo, że uważa za niezbędne mieć o tym zdanie? Jeśli w kształceniu rozumienia jest coś ważniejszego od reszty, to z pewnością jest nim poznawanie podstaw własnych opinii. Bez względu na to, w co ludzie wierzą, w sprawach, o których właściwe wyobrażenie liczy się przede wszystkim, powinni umieć parować przynajmniej powszechne zarzuty. Ktoś może jednak powiedzieć: „*Nauczmy* ich podstaw ich opinii. Z tego, że nigdy nie słyszano, aby były podważane, nie wynika, że mają recytować opinie bezmyślnie, jak papugi. Osoby uczące się nie tylko uczą się twierzeń na pamięć, lecz starają się je zrozumieć i uczyć się ich dowodów. I absurdem byłoby rzec, że pozostają ignorantami w zakresie podstaw prawd geometrycznych, ponieważ nigdy nie słyszały, aby ktoś im przeczył i próbował je obalić”. Niewątpliwie, i w przypadku przedmiotu takiego jak matematyka takie nauczanie wystarcza: nie ma tu drugiej strony problemu, więc nie ma możliwości opowiedzenia się po złej stronie. Osobliwością dowodów prawd matematycznych jest to, że wszystkie argumenty leżą po jednej stronie. Nie ma sprzeciwów i nie ma odpowiedzi na zarzuty<sup>19</sup>. Natomiast w każdym temacie, w którym jest możliwa różnica zdań, prawda zależy od wyważenia dwu zestawów sprzecznych racji. Nawet w filozofii przyrody zawsze znajdują się

---

<sup>19</sup> Wyjąwszy sprzeciwy dotyczące błędnych dowodów lub złego podejścia do problemu, co też wymaga dowodu.

różne wyjaśnienia tych samych faktów: jakaś teoria geocentryczna zamiast heliocentrycznej, jakiś flogiston zamiast tlenu. Otóż trzeba wykazać, dlaczego ta inna teoria nie może być prawdziwa. Dopóki nie zostanie to wykazane i dopóki nie zobaczymy, w jaki sposób, nie zrozumiemy podstaw naszego mniemania. Kiedy jednak zwrócimy się do przedmiotów nieskończenie bardziej skomplikowanych — do moralności, religii, polityki, stosunków społecznych i spraw życiowych<sup>20</sup>, trzy czwarte argumentów przemawiających za każdą sporną opinią polega na rozwianiu pozorów przemawiających za opinią odmienną od niej. Jeden z największych mówców starożytności pozostawił zapis, że zawsze studiował sprawę swojego adwersarza z równie wielką uwagą, jeśli nie większą, jak swoją<sup>21</sup>. To, co Cynceron praktykował jako środek do osiągnięcia sukcesu w sądzie, powinno być naśladowane przez wszystkich, którzy studiują jakikolwiek przedmiot, aby dojść do prawdy. Ten, kto zna tylko swoją stronę sprawy, niewiele o niej wie. Jego racje mogą być dobre i nie do obalenia przez nikogo. Jeśli jednak nie potrafi również obalić racji strony przeciwnej, jeśli nawet ich nie zna, to nie ma podstaw, aby przedkładał jedną opinię nad drugą. Racjonalnym wyjściem z tej sytuacji byłoby dla niego zawieszenie sądu i jeśli się tym nie zadowoli, działa autorytarnie albo zajmuje — jak większość świata — stanowisko, do którego ma większy pociąg. Nie wystarczy też, że wysłucha argumentów przeciwników z ust swoich nauczycieli, przedstawionych tak, jak oni je widzą, i tego, co oferują jako kontrargumenty. Nie jest to droga do ich sprawiedliwej oceny ani rzeczywistego, osobistego przemyślenia. Musi być w stanie usłyszeć je od osób, które rzeczywiście są do nich przekonane, gorliwie ich bronią i robią co w ich mocy, aby przy nich obstawać. Musi je poznać w formie, która wydaje się im najbardziej wiarygodna i przekonująca; musi odczuć całą siłę trudności, z którą musi się zmierzyć i uporać prawdziwy pogląd na daną kwestię. W przeciwnym razie nigdy w istocie nie posiędzie tej części prawdy, która uderza w ową trudność i usuwa ją. Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu tak zwanych ludzi wykształconych jest w tej sytuacji — nawet spośród tych, którzy potrafią

---

<sup>20</sup> Kosmos, zarówno ten makro, jak i mikro, jest nieporównanie bardziej złożony — nawet bez ludzkości, Ziemi, „naszego” Układu i „naszej” Galaktyki...

<sup>21</sup> Marek Tulliusz Cynceron (106 p.n.e. – 43 p.n.e.), słynny rzymski orator, pisarz, polityk, dowódca i stoicki filozof, często występował również w roli adwokata.

płynnie argumentować na rzecz swoich opinii. Ich wniosek może być prawdziwy, lecz w świetle tego, co wiedzą, może być fałszywy. Nigdy nie postawili się w mentalnym stanowisku tych, którzy myślą inaczej niż oni, i nie zastanawiali się, co takie osoby mogą mieć do powiedzenia. W konsekwencji nie znają, w żadnym właściwym rozumieniu tego słowa, doktryny, której sami hołdują. Nie znają tych jej części, które wyjaśniają i uzasadniają resztę; rozważań, z których wynika, że dwa fakty pozornie sprzeczne dają się pogodzić lub że z dwóch na pozór mocnych argumentacji należy preferować jedną, a nie drugą. Obca jest im wszystka ta część prawdy, która przechyla szalę i decyduje o osądzie umysłu w pełni poinformowanego. I nie pozna jej w pełni nikt inny, jak tylko ci, którzy jednakowo i bezstronnie zgłębili stanowiska obu stron, troszcząc się o to, by ujrzeć powody obu w jak najsilniejszym świetle. Utrzymywanie tej dyscypliny jest tak ważne w dążeniu do rzeczywistego zrozumienia spraw moralnych i ludzkich, że gdyby nie istnieli przeciwnicy wszystkich ważnych prawd, nieodzownym byłoby wyobrazić ich sobie i dostarczyć im najsilniejszych argumentów — takich, które mógłby wyczarować najrzeczniejszy adwokat diabła.

Aby osłabić siłę tych rozważań, wróg swobodnej dyskusji mógłby powiedzieć, że ludzkość w ogóle nie musi znać i rozumieć wszystkiego, co filozofowie i teolodzy mogą powiedzieć przeciwko danym poglądom lub na ich rzecz. Że nie jest konieczne, aby zwykli ludzie byli zdolni ujawnić wszystkie nieścisłości stwierdzenia lub błędy sprytnego oponenta. Że wystarczy, jeśli zawsze znajdzie się ktoś, kto potrafi na to odpowiedzieć, aby nic, co mogłoby wprowadzić w błąd osoby niezorientowane, nie ostało się bez zarzutu. Że prości ludzie, nauczeni oczywistych podstaw wpojonych im do głów, mogą co do reszty zaufać autorytetowi; świadomi, że nie mają ani wiedzy, ani talentu do rozwiązania każdej wątpliwości, która może się obudzić, mogą spocząć na zapewnieniach, że na każdą została lub może zostać udzielona odpowiedź przez tych, którzy są w tym dziele wyspecjalizowani.

Przyznając nawet słuszność temu pogładowi w omawianym przedmiocie — czego mogą żądać ci, którzy najbardziej są radzi dawkowaniu prawdy w ilości niezbędnej do uwierzenia w nią — nie osłabia to w żaden sposób argumentu za swobodną dyskusją. Ponieważ nawet w tej doktrynie przyjmuje

się, że ludzie powinni być rozumnie upewnieni, że wszystkie zarzuty zostały zadowalająco rozpatrzone. A jak je odeprzeć, jeśli nie mówi się o tym, co wymaga odpowiedzi? Albo skąd wiedzieć, że odpowiedź jest zadowalająca, jeśli jej przeciwni nie mają sposobności wykazać, że jest niezadowalająca? Jeśli nie ogół, to przynajmniej filozofowie i teolodzy, którzy są od usuwania trudności, winni rozpoznać je w ich najzawilszej postaci. Tego zaś nie można osiągnąć, dopóki nie zostaną one bez przeszkód sformułowane i umieszczone w najkorzystniejszym [do analizy] świetle, na które pozwalają. Kościół katolicki ma swoisty sposób radzenia sobie z tym wstydlivym problemem. Dokonuje szerokiego rozdziału między tymi, którym można pozwolić na przyjęcie jego doktryn z przekonaniem, a tymi, którzy muszą akceptować je w drodze wiary. Nikt w istocie nie ma żadnego wyboru odnośnie do tego, co zaakceptuje; jednak kler — przynajmniej ta jego część, której można w pełni ufać — z upoważnienia i zasłużenie może się zapoznawać z argumentami przeciwników, aby na nie odpowiadać. Dlatego może czytać książki kacerzy; świeckim tego nie wolno, chyba że za specjalnym pozwoleniem, trudnym do uzyskania. Ta dyscyplina uznaje znajomość punktu widzenia wroga za korzystną dla nauczycieli, ale znajduje spójne z tym środki, by odmawiać jej reszcie świata, dając w ten sposób *elicie* więcej kultury umysłowej, acz nie więcej umysłowej wolności, niż na nią zezwala masom. Stosując ten zabieg, udaje mu się uzyskać rodzaj przewagi umysłowej, której wymagają jego cele. Chociaż kultura bez wolności nigdy nie wydała wielkiego i liberalnego umysłu, może urobić zręcznego *nisi prius*<sup>22</sup> apostoła sprawy. Jednak w krajach wyznających protestantyzm ten środek jest odrzucany, gdyż protestanci utrzymują — przynajmniej w teorii — że odpowiedzialność za wybór religii musi ponosić każdy sam i nie można jej zrzucić na nauczycieli. Poza tym w obecnym stanie świata jest praktycznie niemożliwe, aby pisma czytane przez wykształconych ukrywać przed niewykształconymi<sup>23</sup>. Jeśli nauczyciele ludzkości mają mieć

---

<sup>22</sup> *Nisi prius* (z łac. jeśli nie wcześniej); w średniowieczu tymi słowami szeryf zaczynał zwoływanie ławy przysięgłych; w XIX wieku tym terminem określano postępowanie prawne poprzedzające czynności {King|Queen}'s Bench Division (terenowej delegatury ławy przysięgłych tronu brytyjskiego).

<sup>23</sup> W obecnym „stanie świata” pomaga w tym Internet, choć nie brak w nim również ludzkiej niecnoty.

rozeznanie w całości tego, co powinni wiedzieć, wszystko musi być swobodnie pisane i publikowane bez ograniczeń.

Gdyby jednak szkodliwe skutki braku swobodnej dyskusji, w razie prawdziwości przyjętych opinii, ograniczały się do pozostawienia ludzi w nieświadomości podstaw tych opinii, można by pomyśleć, że jeśli jest to złem, to intelektualnym, a nie moralnym, i nie wpływa na wartość takich opinii, jeśli chodzi o ich oddziaływanie na charakter. Wszelako jest faktem, że w przypadku braku dyskusji zapomina się nie tylko podstaw danej opinii, lecz zbyt często znaczenia jej samej. W słowach, które ją niosą, blakną idee lub wyrażają tylko niewielką część tego, co pierwotnie przekazywały. Zamiast żywej koncepcji i żywej wiary zostaje kilka komunałów wykutych na pamięć. A jeśli jakaś część gdzieś się uchowa, to tylko jako skorupa i łuska znaczenia, podczas gdy subtelniejsza esencja się zatracza. Nigdy za wiele studiów i rozważań wielkiego rozdziału w historii ludzkości, który ten fakt zajmuje i wypełnia.

Ilustruje to doświadczenie niemal wszystkich systemów etycznych i wierzeń religijnych. Wszystkie są pełne znaczeń i witalności dla ich twórców oraz dla ich bezpośrednich uczniów. Ich znaczenie jest nadal odczuwane w nieślabnącej sile i być może jeszcze bardziej i pełniej wrywa się w świadomość tak długo, jak długo trwa walka o wyniesienie doktryny lub wiary ponad inne. W końcu albo przeważa i zapada w powszechne przekonanie, albo jej postęp ustaje; zachowuje zdobyty teren, lecz przestaje się dalej rozprzestrzeniać. Gdy któryś z tych efektów staje się widoczny, spory na ten temat słabną i stopniowo zamierają. Doktryna zajęła swoje miejsce — jeśli nie jako przyjęta opinia, to jako uznana w jednym z odłamów lub w pewnej podgrupie opinii. Jej wyznawcy na ogół ją odziedziczyli, a nie przyjęli, a konwersja z jednej z tych doktryn na inną, będąca obecnie faktem wyjątkowym, zajmuje niewiele miejsca w myślach jej nauczycieli. Zamiast, jak na początku, być stale w pogotowiu, żeby bronić się przed światem lub przyciągnąć świat do siebie, opadli w przyzwolenie i ani słuchają, kiedy by mogli ją wesprzeć w odparciu argumentów przeciw ich wierze, ani kłopotczą odstępców (jeśli tacy istnieją) argumentami na swoją korzyść. Odtąd można zwykle datować zanik sił żywotnych doktryny. Często słyszymy, jak nauczyciele wszystkich wyznań ubolewają nad trudnością utrzymania w umysłach wierzących żywego nastawienia do

prawdy, którą nominalnie uznają, aby mogła przeniknąć ich uczucia i przejąć rzeczywistą kontrolę nad ich postępowaniem. Nie ma narzekań na takie trudności, dopóki wyznanie wciąż walczy o byt — wtedy nawet słabsi walczący wiedzą i czują, o co toczą bój i jaka jest różnica między tą a innymi doktrynami. W tym okresie istnienia każdego wyznania można znaleźć немало ludzi świadomych jego podstawowych zasad we wszelkim myśleniu, doceniających jego wagę i uwzględniających je we wszystkich ważnych postawach, doświadczających w pełni skutków charakterologicznych, które wyznawana wiara powinna wywierać na umysł całkowicie nią przesiąknięty. Gdy jednak staje się wiarą dziedziczną, przyjmowaną biernie, a nie aktywnie, kiedy nie zaprzęta już umysłu w takim stopniu jak na początku, nie wykorzystuje jego sił witalnych w kwestiach, które przed nim stawia, pojawia się i wzmacnia tendencja do zapominania o wszystkich wierzeniach z wyjątkiem zbioru formułek lub do tępej i bezwolnej zgody, jak gdyby zawierzenie zwalniało od konieczności urealnienia jej w świadomości lub sprawdzenia w osobistym doświadczeniu; aż w końcu dochodzi do tego, że niemal gaśnie jej związek z wewnętrznym życiem człowieka. W następstwie widać przypadki — tak częste w obecnej dobie, że prawie większość stanowią — wiary pozostającej jakby zewnątrz umysłu, oskorupiającej go i znieczulającej na wszelkie inne wpływy skierowane do wznioślejszych części naszej natury; manifestującej swoją moc przez nieprzyzwalanie na dostęp do niej jakichkolwiek świeżych i żywych przekonań, samej zaś nie czyniącej niczego dla umysłu lub serca, oprócz strażowania, aby utrzymać je puste.

Do jakiego stopnia doktryny z natury zdolne wyrzeć najgłębsze wrażenie w umyśle mogą pozostać w nim martwymi przekonaniami, nigdy nie materializując się w wyobraźni, uczuciach lub zrozumieniu, obrazuje sposób, w który większość wierzących trzyma się doktryny chrystianizmu. Przez chrystianizm (chrześcijaństwo) rozumiem tutaj to, za co je uważają wszystkie kościoły i sekty — zasady i przykazania zawarte w Nowym Testamencie. Są one uważane za święte i akceptowane jako prawa przez wszystkich wierzących chrześcijan. Nie jest jednak przesadą stwierdzenie, że ani jeden chrześcijanin na tysiąc nie kieruje się w swoim postępowaniu tymi prawami ani ich nie sprawdza. Standardem, do którego się odnosi, jest zwyczaj jego narodu, jego klasy lub odmiany jego wyznania. Ma więc z jednej strony zbiór zasad

etycznych, które — jak wierzy — zostały mu łaskawie powierzone przez nieomylną mądrość, by się nimi kierował, a z drugiej zestaw codziennych osądów i praktyk do pewnego stopnia zbieżnych z niektórymi z tych zasad, nie tak bardzo z innymi, a z jeszcze innymi pozostających w jawnej sprzeczności, będąc ogólnie kompromisem między chrześcijańskim kredo a interesami i podszeptami codziennego życia. Pierwszemu z tych standardów oddaje cześć, drugiemu jest prawdziwie wierny. Wszyscy chrześcijanie wierzą, że błogosławieni są ubodzy i pokorni oraz poniewierani przez świat, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego; że nie powinni sądzić, by nie byli sądzeni; aby w ogóle nie przysięgali; by miłowali bliźniego jak siebie samego; że jeśli ktoś weźmie ich szatę, powinni mu odstąpić i płaszcz; aby nie troszczyli się o jutro; aby, jeśli chcą być doskonali<sup>24</sup>, sprzedali wszystko, co mają, i rozdali ubogim. Nie są nieszczerzy, gdy mówią, że wierzą w te rzeczy. Wierzą w nie, tak jak ludzie wierzą w to, o czym zawsze słyszeli pochwały i o czym nigdy nie dyskutowano. Jednak w sensie owej żywej wiary regulującej postępowanie wierzą w te doktryny tylko w takim stopniu, w jakim zwykle działają zgodnie z nimi. Doktryny w swym całokształcie są przydatne do pograżania przeciwników. Jest więc zrozumiałe, że należy je przedstawiać (jeśli to możliwe) jako powody wszystkiego, co ludzie robią, co uważają za chwalebne. Lecz każdy, kto by im wypomniał, że owe zasady wymagają nieskończoności tego, co im przez myśl nie przejdzie, aby robili, nie zyskałby nic poza tym, że zostałby zaliczony do tej bardzo niepopularnej kategorii ludzi, którzy udają, że są lepsi od innych. Doktryny te nie mają oparcia w zwykłych wyznawcach, nie znajdują siły w ich umysłach. Ci zaś mają nawykowy szacunek dla ich brzmienia, lecz nie żywią żadnych uczuć idących od słów do oznaczanych przez nie pojęć i zmuszających umysł do *ich* przyjęcia i podporządkowania się ich regułom. W kwestii postępowania w życiu rozglądają się za panami A i B, aby im pokazali, jak daleko mają się posunąć w posłuszeństwie Chrystusowi.

Możemy teraz być pewni, że w przypadku pierwszych chrześcijan sytuacja przedstawiała się nie tak, lecz zupełnie inaczej. Gdyby tak było, chrześcijaństwo nigdy by się nie rozwinęło z ciemnej sekty pogardzanych hebrajczyków

---

<sup>24</sup> Mk 10.21. Literalnie: „będziesz miał skarb w niebie” (w większości wersji).

w religię Cesarstwa Rzymskiego. Z pewnością mieli o wiele żywsze poczucie znaczenia swojej wiary, kiedy ich wrogowie mówili: „Patrzcie, jak ci chrześcijanie miłują się nawzajem” (sposzczenie, którego dzisiaj nikt raczej nie zrobi) niż kiedykolwiek później. I prawdopodobnie właśnie z tego powodu chrześcijaństwo czyni obecnie tak niewielkie postępy w rozszerzaniu swego zasięgu, że po osiemnastu stuleciach wciąż się ogranicza niemal tylko do Europejczyków i potomków Europejczyków. Nawet wśród wyznawców ściśle religijnych, z całą powagą traktujących swoje doktryny, dla których znaczą one więcej niż dla ogółu ludzi, często się zdarza, że ta część, która stosunkowo aktywnie zajmuje ich umysły, pochodzi od Kalwina, Knoxa<sup>25</sup> lub kogoś znacznie bliższego charakterem tym dwu. Przypowieści i rady Chrystusa biernie koegzystują w ich umysłach, nie dając prawie żadnego efektu, prócz tego, który po prostu wywołuje słuchanie słów tak miłych i łagodnych. Niewątpliwie istnieje wiele powodów, z których doktryny będące znakiem rozpoznawczym jakiejś sekty zachowują większą żywotność niż te, które są wspólne dla wszystkich uznanych sekt, co sprawia, że ich nauczyciele zadają sobie więcej trudu, aby utrzymać je w obiegu. Z pewnością jednym z powodów jest to, że osobliwe doktryny są bardziej kwestionowane i muszą być częściej broniące przed jawnymi przeciwnikami. Gdy nie widać nieprzyjaciela w pobliżu, zarówno nauczyciele, jak i uczniowie usypiają na swoich posterunkach.

To samo odnosi się, ogólnie biorąc, do wszystkich tradycyjnych doktryn, tych dotyczących roztropności i znajomości życia, jak również doktryn moralnych lub religijnych. Wszystkie języki i literatura pełne są ogólnych obserwacji dotyczących życia — zarówno kwestii, czym ono jest, jak i tego, jak je wieść<sup>26</sup>. Są to spostrzeżenia, które wszyscy znają, wszyscy powtarzają lub których słuchają z akceptacją; są przyjmowane jako truizmy, a jednak większość ludzi dopiero poznaje ich wartość, gdy doświadczenie — zwykle bolesne —

---

<sup>25</sup> Jan Kalwin (*Jean Cauwin* lub *Calvin*, 1509 – 1564), działający w Szwajcarii francuski teolog protestancki, humanista i pisarz, twórca ewangelicyzmu reformowanego. John Knox (1514 – 1572), duchowny kalwiński, wcześniej katolicki, przywódca reformacji szkockiej, założyciel szkockiego Kościoła Prezbiteriańskiego.

<sup>26</sup> Życie jako całość jest bez sensu, ale każdy dzień może (i powinien) uzasadniać je lokalnie.



uczyni je dla nich rzeczywistością. Ileż to razy, doznając nieprzewidzianego nieszczęścia lub zawodu, człowiek przypomina sobie znane mu przez całe życie pospolite przysłowie lub powiedzenie, którego sens, gdyby go wcześniej pojął tak jak w owej chwili, uchroniłby go od niedoli. Zaiste, są tu i inne powody niż brak dyskusji: istnieje wiele prawd, których pełnego znaczenia *nie można* zrozumieć póty, póki osobiste doświadczenie ich nie uświadomi. Atoli nawet wtedy ich znaczenie byłoby pojęte i znacznie głębiej wryłoby się w umysł, gdyby człowiek był przyzwyczajony do słuchania argumentów *za* i *przeciw* pochodzących od ludzi, którzy je rozumieci. Fatalna tendencja rodzaju ludzkiego do niechania myślenia o czymś, co przestaje budzić wątpliwości, jest przyczyną połowy jego błędów. Pewien współczesny autor dobrze powiedział o „głębokim śnie bezspornych opinii”.

— Cóż stąd? — ktoś może zapytać. Czy brak jedności jest nieodzownym warunkiem prawdziwej wiedzy? Czy koniecznie trzeba, aby jakaś część ludzkości trwała w błędzie po to, by każdy mógł zrozumieć prawdę? Czy wiara przestaje być realną i żywotną, gdy tylko zostanie powszechnie przyjęta? I czy twierdzenia nigdy nie da się dogłębnie zrozumieć i poczuć, jeśli nie pozostaną względem niego jakieś wątpliwości? Czy prawda musi ginąć, gdy tylko ludzkość jednogłośnie ją przyjmie? Dotychczas uważano, że najwyższym celem i najlepszym rezultatem udoskonalonej inteligencji jest coraz większe jednoczenie ludzi w uznaniu wszystkich ważnych prawd — czy zatem inteligencja trwa tylko dopóty, dopóki nie dopnie swego celu? Czy owoce podboju wiedznią z chwilą osiągnięcia pełnego zwycięstwa?

Nie pochwalam niczego takiego. W miarę jak człowiek się doskonali, liczba niekwestionowanych doktryn, co do których nie ma już wątpliwości, będzie stale rosła, a pomysłność ludzkości można niemal mierzyć liczbą i wagą prawd, które osiągnęły punkt, w którym nie da się ich kwestionować. Ustanie poważnych kontrowersji dotyczących kolejnych problemów jest jednym z warunków koniecznych konsolidacji opinii — konsolidacji, która jest równie zbalansowana w przypadku opinii prawdziwych, jak niebezpieczna i szkodliwa, gdy opinie są błędne. Choć jednak to stopniowe zawężanie granic zróżnicowania danej opinii jest konieczne w jednym i drugim rozumieniu tego słowa — będąc jednocześnie nieuniknione i niezbędne, nie obliguje to nas do wniosku,

że wszystkie jego konsekwencje muszą być korzystne. Utrata tak ważnej pomocy do rozumnego i żywego uchwycenia prawdy, jaką daje konieczność wyjaśniania jej przeciwnikom lub obrony przed nimi — choć nie wystarcza, aby przeważać — jest wadą niebagatelnie utrudniającą osiągnięcie korzyści z jej powszechnego uznania. Przyznaję, że tam, gdzie nie można już mieć tej przewagi, chętnie widziałbym nauczycieli ludzkości nieszczędzących starań, aby zapewnić jej substytut — coś, co dałoby odczuć w świadomości ucznia trudność problemu tak mocno, jakby mu został narzucony przez niezmordowanego protagonistę przeciwnego poglądu, który uwziął się, aby go nawrócić.

Ale zamiast wyszukiwać sprytnych sposobów na osiągnięcie tego celu, stracono te, które wcześniej posiadano. Wynalazkiem tego rodzaju była sokratejska dialektyka, tak wspaniale ukazana w dialogach Platona. Polegała ona zasadniczo na negatywnym dyskutowaniu wielkich zagadnień filozofii i życia, kierowanym wprawnie w stronę przekonania każdego, kto przyswoił sobie tylko pospolite, obiegowe opinie, że nie rozumiał zagadnienia, że dotąd nie przypisał konkretnych znaczeń swoim mniemaniom. Uświadomienie swojej ignorancji dawało mu szansę wejścia na drogę do osiągnięcia przekonań opartych na trwałym gruncie, na jasnym zrozumieniu zarówno znaczenia doktryn, jak i ich dowodów. Scholastyczne dysputy średniowiecza miały zbliżony cel. Służyły upewnieniu się, że uczeń rozumie swoją własną opinię oraz (przez niezbędną współzależność) pogląd przeciwny, może więc dowodzić racji jednej strony i zbijać argumenty drugiej. Tak prowadzone spory były w istocie obciążone nieuleczalną wadą: przesłanki, na które się powoływano, były popierane autorytetem, a nie rozumem. Jako sposób kształcenia umysłu były więc pod każdym względem gorsze od potężnej dialektyki, która ukształtowała intelekt *„Socratici viri”*<sup>27</sup>. Wszelako współczesny umysł zawdzięcza znacznie więcej obu, niż jest na ogół skłonny przyznać, a obecne systemy edukacji nie zawierają niczego, co w najmniejszym stopniu zapewniałoby miejsce jednemu lub drugiemu. Osoba czerpiąca całą swą naukę od nauczycieli lub z książek, nawet jeśli unika natrętnej pokusy zadowolenia się wkuwaniem, nie odczuwa wewnętrznej potrzeby wysłuchiwania obu stron. Nie inaczej

---

<sup>27</sup> *Socratici viri* — z łac. „mężowie sokratejscy (sokratyczni)”, sokratejczycy; ukuty przez Cyncerona termin na określenie uczniów Sokratesa.

rzeczy się mają nawet wśród myślicieli: poznanie poglądów obu stron nie zdarza im się często, a najsłabszym, co każdy mówi w obronie swojej opinii, jest to, czym zamierza antagonistom swoim zareplikować. Modą obecną jest dyskredytowanie logiki negatywnej — tej, która wykazuje słabości teorii lub błędy w praktyce, bez ustalania prawd pozytywnych. Rzeczywiście, sama negatywna krytyka jest za słaba i nie wystarcza do osiągnięcia ostatecznego wyniku. Jednak jako środek forsowania jakiegokolwiek pozytywnej wiedzy lub poglądu — godnych tego miana, jest nie do przecenienia. Dopóki więc ludzie nie będą znów systematycznie szkoleni w tym zakresie, niewielu będzie wielkich myślicieli, a ogólna przeciętna intelektu we wszystkich dziedzinach, poza matematycznymi i fizycznymi spekulacjami, będzie niska. W żadnym innym przedmiocie niczyje opinie nie zasługują jak na razie na miano poznania, chyba że ktoś z własnej potrzeby lub nakłoniony przez innych przeszedł ów proces umysłowy, wymagany od niego przy prowadzeniu czynnej polemiki z przeciwnikami. O ileż gorsza od głupoty jest zatem rezygnacja z tego, czego brak jest tak odczuwalny, co stworzyć jest tak trudno, podczas gdy samo się nasuwa! Jeśli znajdują się osoby kwestionujące utarte poglądy lub takie, które zrobią to, gdy prawo lub opinia im na to pozwolą, podziękujmy im za to, otworzymy nasze umysły, aby ich słuchać, i radujmy się, że jest ktoś, kto może dla nas zrobić to, co w przeciwnym razie powinniśmy — jeśli choć trochę zależy nam na pewności lub żywotności naszych przekonań — zrobić dla siebie o wiele większym wysiłkiem.

Pozostaje jeszcze omówić jedną z głównych przyczyn, które sprawiają, że różnorodność opinii jest korzystna i będzie taką dopóty, dopóki ludzkość nie osiągnie fazy rozwoju intelektualnego, której nastanie wydaje się dziś trudne do przewidzenia. Rozważaliśmy dotychczas tylko dwie możliwości: że przyjęta opinia może być fałszywa, zatem jakaś inna może być prawdziwa, lub gdy jest prawdziwa, do jasnego zrozumienia i głębokiego poczucia jej prawdziwości niezbędny jest konflikt z opinią przeciwną, obarconą błędem. Istnieje wszakże przypadek powszechniejszy od obu — kiedy żadna z dwu sprzecznych doktryn nie jest w pełni prawdziwa ani fałszywa, dzielą się natomiast między sobą

prawdą, i gdy jest potrzebna niekonformistyczna opinia, aby dostarczyć reszty prawdy, której przyjęta doktryna zawiera tylko część. Potoczne opinie na tematy nieuchwytnie dla zmysłów są często prawdziwe, jednak rzadko lub nigdy nie są w pełni prawdziwe. Są częścią prawdy — czasem większą, czasem mniejszą, jednakowoż wyolbrzymioną, zdeformowaną i oderwaną od prawd, które powinny im sekundować, a zarazem je ograniczać. Z drugiej strony opinie odstępcze z reguły reprezentują niektóre z tych wyciszanych i zaniedbywanych prawd zrywających krępujące je więzy, albo szukające pojednania z prawdą zawartą w powszechnej opinii, albo wrogo do niej nastawione, roszczące sobie podobną wyłączność jak cała prawda. Ostatni przypadek jest jak dotąd najczęstszy, gdyż w umyśle ludzkim jednostronność zawsze była regułą, a wielostronność wyjątkiem. Dlatego nawet w przypadku rewolucji opinii jedna część prawdy zwykle zanika, podczas gdy inna się wyłania. Nawet postęp, który powinien naddawać, w większości zastępuje tylko jedną cząstkową i niekompletną prawdę inną; udoskonalenie polegające głównie na tym, że nowy fragment prawdy jest bardziej pożądanym, bardziej dostosowanym do potrzeb czasu niż ten, który wypiera. Zważywszy na ów cząstkowy charakter dominujących opinii, nawet jeśli opierają się na prawdziwej podstawie, każda opinia zawierająca część prawdy pomijaną w powszechnej opinii winna być uważana za cenną, bez względu na ilość błędów i nieładu, z jaką ta prawda może być zmieszana. Żaden trzeźwy sędzia spraw ludzkich nie poczuje się w obowiązku wyrazić oburzenie z powodu, że ci, którzy kierują naszą uwagę ku prawdom, które byśmy sami przeoczyli, nie dostrzegają niektórych z tych, które my widzimy. Pomyśli raczej, że tak długo, jak popularna prawda jest jednostronna, będzie bardziej pożądanym, aby prawda niepopularna miała również jednostronnych rzeczników; tacy są zwykle najbardziej energiczni i najpewniej zwrócą uwagę niechętnych na fragment mądrości, który mienią całością.

I tak w XVIII wieku niemal wszyscy wykształceni i niewykształceni, pozostający pod ich wpływem, nie wychodzili z podziwu nad tym, co zwie się cywilizacją, i zachwytów nad nowoczesną nauką, literaturą i filozofią. Znacznie przeceniając ilość różnic między ludźmi współczesnymi i tymi z czasów antycznych, folgowali sobie, uważając, że wszystkie te różnice były na ich korzyść. Jakże zbawiennym wstrząsem okazały się pośród tego eksplodujące jak bomby

paradoksy Rousseau<sup>28</sup>, rozpraszając zwartą masę jednostronnej opinii i wymuszając ponowne połączenie jej składowych w lepszą formę i z dodatkowymi składnikami. Nie oznacza to, że istniejące opinie odstawały bardziej od prawdy niż opinie Rousseau. Wręcz przeciwnie — było im do niej bliżej. Zawierały więcej niezbitych prawd i znacznie mniej błędów. Niemniej, w doktrynie Rousseau leżało i spływało wraz z nią strumieniem poglądów sporo tych właśnie prawd, których powszechnie oczekiwał lud. I właśnie ten osad pozostał po ustąpieniu powodzi. Wywyższenie prostoty życia, osłabiający i demoralizujący wpływ pęt i hipokryzji sztucznego społeczeństwa — to idee, które od powstania pism Rousseau nigdy całkowicie nie opuszczają wykształconych umysłów i z czasem przyniosą odpowiedni skutek, chociaż obecnie trzeba do nich przekonywać równie mocno jak zawsze, i to czynami, gdyż słowa w tej kwestii prawie wyczerpały swą moc.

Z kolei w polityce jest niemal banalnym stwierdzenie, że zarówno partia układu czy zachowawczości, jak i partia postępu czy zmian<sup>29</sup> są niezbędnymi elementami zdrowostanu życia politycznego, chyba że jedna czy druga tak rozszerzy swój mentalny uścisk, by stać się partią w równi układu, jak i postępu, wiedzącą i rozróżniającą, co pasuje zachować, a co należy zmieść. Każdy z tych sposobów myślenia czerpie swoją użyteczność z niedostatków drugiego; ale to właśnie opór drugiego w dużej mierze utrzymuje każdy w rozsądnych i zdrowych granicach. Jeśli poglądy sprzyjające demokracji i arystokracji, własności i równości, współpracy i konkurencji, zbytkowi i umiarkowaniu, socjalizacji i wyobcowaniu się, wolności i dyscyplinie oraz wszystkim innym stałym antagonizmom realnego życia nie są wyrażane z równą swobodą oraz egzekwowane i bronione z równym talentem i energią, nie ma szans, aby obie te składowe dostały, co się im należy — wycena jednej z pewnością pójdzie w górę, a drugiej w dół. Prawda tycząca ważnych spraw rzeczywistego życia jest tak bardzo kwestią godzenia i łączenia przeciwieństw, że tylko niewiele głów ma umysły wystarczająco pojemne i bezstronne, aby w dokonywanych

---

<sup>28</sup> Jean-Jacques Rousseau (1712 – 1778), urodzony w Genewie pisarz, filozof, pedagog i teoretyk muzyki. Wiele jego prac trafiło na indeks ksiąg zakazanych przez Kościół katolicki.

<sup>29</sup> Odpowiednio, partie określane jako konserwatywna i progresywna.

korektach zbliżać się do poprawności, co znów wymaga brutalnej walki stron spod wrogich sztandarów. Jeśli jedna z dwu opinii w którymś z wyliczonych tu wielkich, otwartych problemów bardziej od drugiej zasługuje nie tylko na tolerowanie, lecz także, aby do niej zachęcać i ją popierać, to ta, która w danym czasie i miejscu występuje w mniejszości. Jest to opinia, która w danym momencie reprezentuje zaniedbane interesy, stronę ludzkiego dobrostanu zagrożoną tym, że otrzyma mniej, niż by należało. Świadom jestem, że w tym kraju nie ma nietolerancji różnych zdań w większości z tych tematów. Są one przytaczane, aby pokazywać na akceptowanych i licznych przykładach powszechność faktu, że tylko dzięki różnorodności opinii istnieje, w obecnym stanie ludzkiego intelektu, szansa na sprawiedliwą grę dla wszystkich stron prawdy. Gdy widzimy osoby, których poglądy w jakiejś sprawie odbiegają od pozornej jednomyślności świata, wówczas — nawet jeśli świat ma rację — zawsze jest możliwe, że odstępcy owi mają do powiedzenia coś wartego wysłuchania i że prawdzie zabrakłoby coś wskutek ich milczenia.

Zaprotestuje ktoś: „Ależ *niektóre* przyjęte zasady, zwłaszcza w sprawach najwyższych i najważniejszych, są więcej niż półprawdami. Jeśli o to chodzi, chrześcijańska na przykład moralność jest całą prawdą, a kto naucza moralności różniącej się od niej, jest w całkowitym błędzie”. Ponieważ jest to przykład ze wszystkich w praktyce najważniejszy, żaden nie może być bardziej odpowiedni do sprawdzenia tej ogólnej maksymy. Jednak przed wysłowieniem, czym jest, a czym nie jest moralność chrześcijańska, wskazane byłoby rozstrzygnąć, co należy rozumieć pod pojęciem moralności chrześcijańskiej. Jeśli rozumieć przez to moralność Nowego Testamentu, dziwię się, że ktokolwiek, kto czerpie wiedzę o niej z samej tej księgi, może mniemać, iż dzieło to ogłoszono lub było zakrojone jako kompletna doktryna moralna (etyka). Ewangelia zawsze odnosi się do moralności istniejącej wcześniej i ogranicza swoje zalecenia do szczegółów, w których tamta moralność miała być ulepszona lub zastąpiona szerszą i wyższą; co więcej, wyraża się w sposób najogólniejszy, często niemożliwy do literalnego zinterpretowania, i imponuje raczej siłą poetyckiej ekspresji lub elokwencji niż prawodawczą precyzją. Wydobyć z niej korpus doktryn etycznych nigdy nie było możliwe bez sięgania do Starego Testamentu, to znaczy do systemu rzeczywiście rozbudowanego, lecz pod wieloma względami barbarzyńskiego i przeznaczonego tylko dla

barbarzyńskiego ludu. Święty Paweł, zdeklarowany wróg tego judaistycznego sposobu interpretowania doktryny i uzupełniania planu jego Mistrza, w równym stopniu przyjmuje istniejącą wcześniej moralność, mianowicie moralność Greków i Rzymian; a jego rady dla chrześcijan są w dużej mierze systemem dostosowania się do niej — nawet do tego stopnia, że jawnie sankcjonuje niewolnictwo<sup>30</sup>. To, co nazywa się moralnością chrześcijańską, choć powinno być raczej określane mianem teologicznej, nie było dziełem Chrystusa ani apostołów, lecz pochodzi z czasów znacznie późniejszych, stopniowo budowane przez Kościół katolicki pierwszych pięciu wieków i, choć nie bez zastrzeżeń, przyjęte przez współczesnych i protestantów zostało przez nich znacznie mniej zmodyfikowane, niż można by się spodziewać. W rzeczywistości zadowolili się głównie usunięciem dodatków wprowadzonych do niej w średniowieczu, przy czym każdy odłam zastępował je nowymi dodatkami, odpowiadającymi jego charakterowi i dążnościom. Byłbym ostatnią osobą, która by przeczyła, że ludzkość ma wielki dług wobec tej moralności i jej pierwszych nauczycieli. Nie waham się jednak rzec o niej, że w wielu ważnych punktach jest niekompletna i jednostronna i że gdyby nie idee i odczucia przez nią nieaprobowane oraz ich wkład w ukształtowanie europejskiego życia i charakteru sprawy ludzkie miałyby się gorzej, niż mają się obecnie. Moralność chrześcijańska (tak zwana) ma wszystkie cechy reakcji. Jest w dużej mierze protestem przeciwko pogaństwu. Jej ideał jest raczej negatywny niż pozytywny, raczej pasywny niż aktywny; bardziej niewinność aniżeli szlachetność. Powstrzymanie się od zła zamiast energicznego dążenia do dobra (co wyraźnie widać w jej przykazaniach): „nie będziesz” nazbyt przeważa nad „powinieneś”. W swojej odrazie do zmysłowości z ascezy uczyniła bożka, a ten stopniowo poszedł na kompromis, stając się bożkiem prawności. Rozpóściera nadzieję na niebo i grozę piekła jako ustanowione i właściwe pobudki do cnotliwego życia — a tym mierzy znacznie poniżej najlepszych starożytnych, czyniąc, co w jej mocy, by nadać ludzkiej moralności samolubny w istocie charakter, oddzielając w człowieku poczucie obowiązku od interesów jego bliźnich,

---

<sup>30</sup> „Wszyscy, którzy są pod jarzmem jako niewolnicy, niech własnych panów uznają za godnych wszelkiej czci, ażeby nie bluźniono imieniu Boga i [naszej] nauce”. [*Nowy Testament, 1. list do Tymoteusza*, cz. 6, *Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Poznań 1965].

wyjąwszy pobudzenie go do tego egotyczną zachętą<sup>31</sup>. Zasadniczo jest to doktryna biernego posłuszeństwa. Wpaja posłuszeństwo każdemu panującemu władztwu, a służyć go nie należy tylko wtedy, kiedy nakazuje to, czego zabrania religia, któremu jednak nie wolno się opierać, a tym bardziej buntować się przeciw niemu — nawet wobec dowolnych, wyrządzonych nam krzywd. I chociaż w moralności najlepszych narodów pogańskich obowiązki wobec państwa zajmują zgola nieproporcjonalne miejsce, naruszając słuszną wolność jednostki, w czysto chrześcijańskiej etyce ten wielki obszar obowiązków jest ledwie zauważany lub uznawany. To w Koranie, nie w Nowym Testamencie, czytamy: „Władca, który mianuje jakiegoś człowieka na urząd, podczas gdy w jego posiadłościach jest inny, zdolniejszy, grzeszy przeciwko Bogu i państwu”. Owo, choć niewielkie, uznanie, które idea obowiązku względem ogółu zyskuje w nowożytnej moralności, nie z chrześcijańskich, a z greckich i rzymskich źródeł się wywodzi. Ponieważ nawet w moralności życia prywatnego wszystko, co istnieje w wielkoduszności, zacności, godności osobistej — nawet w poczuciu honoru, pochodzi z czysto ludzkiej, a nie religijnej części naszego wychowania i nigdy nie mogło wyrosnąć z normy etycznej, w której jedyną wartością otwarcie (przynajmniej deklaratywnie) uznawaną jest posłuszeństwo.

Jestem daleki od mniemania, że te wady muszą być wrodzone etyce chrześcijańskiej — jakkolwiek byśmy ją pojmowali — lub że liczne elementy wymagane w kompletnej doktrynie moralnej, których ona nie zawiera, nie dadzą się z nią pogodzić. W jeszcze mniejszym stopniu sugerowałbym to w odniesieniu do nauczania i przykazań samego Chrystusa. Jestem przekonany, że słowa Chrystusa są kompletne w tym sensie, że zawierają wszystko, co miały na celu; że nie są sprzeczne z niczym, czego wymaga ogólna moralność; że wszystko, co jest doskonałe w etyce, można w nich pomieścić bez większych naruszeń ich języka, niż to zrobili wszyscy, którzy usiłowali wysnuć z nich jakieś praktyczne zasady postępowania. Lecz w pełnej zgodzie z tym pozostaje przekonanie, że zawierają one i miały zawierać tylko część prawdy; że w spisanych wypowiedziach założyciela chrześcijaństwa nie ma, i nie ma

---

<sup>31</sup> Nie dlatego jestem dobry, że oczekuję nagrody, i nie dlatego nie jestem podły, że się obawiam kary — propozycja etyczna tłumacza.



celowo, wielu istotnych elementów najwyższej moralności oraz że zupełnie pominięto je w systemie etyki zbudowanym na bazie tych wypowiedzi przez kościół chrześcijański. A zważywszy na to, uważam za wielki błąd uparte próby dopatrywania się w doktrynie chrześcijańskiej tej kompletnej zasady kierowania naszym życiem, którą jej autor zamierzał uprawomocnić i narzucić, ale jedynie częściowo. Uważam również, że ta ciasna teoria, znacznie umniejszając wartość moralnego edukowania i instruktażu, staje się w praktyce ciężkim złem, przy którym tak wielu ludzi w najlepszej wierze stara się obecnie obstawać. Bardzo się obawiam, że próby urabiania umysłu i uczuć według wyłącznie religijnego wzorca, z pominięciem tych świeckich norm (jak z braku lepszego określenia można je nazwać), które dotąd współistniały z etyką chrześcijańską i ją uzupełniały, przyjmując część jej ducha i wprowadzając do niej część swojego, doprowadzą — co nawet już obecnie widać — do powstania niskich, żalonych, służalczych typów charakteru, które — aczkolwiek poddają się, jak tylko mogą, temu, co uważają za Najwyższą Wolę, nie są zdolne sięgnąć poziomu lub współodczuwania koncepcji Najwyższej Dobroci. Jestem głęboko przekonany, że etyki inne niż te, które można wywodzić wyłącznie z chrześcijańskich źródeł, powinny współistnieć na równi z etyką chrześcijańską, aby doprowadzić do moralnej odnowy ludzkości; oraz że system chrześcijański nie jest wyjątkiem od reguły, iż w niedoskonałości ludzkiego umysłu w interesie prawdy leży różnorodność opinii. Nie jest konieczne, aby ludzie, przestając ignorować prawdy moralne niezawarte w chrześcijaństwie, ignorowali którąkolwiek z tych, które ono zawiera. Upředzenie takie lub przeoczenie, gdy się pojawia, jest kompletnym złem, lecz nie należy liczyć, że kiedykolwiek się od niego uwolnimy — trzeba je traktować jako cenę płaconą za bezcenne dobro. Roszczenia w stosunku do częściowej prawdy, jakoby była prawdą całą, muszą i powinny być zwalczane, a jeśli kierunek protestujących zostanie w reakcji uznany za niesłuszny, można się uzalać nad tą jednostronnością, podobnie jak nad każdą, lecz trzeba ją tolerować. Skoro chrześcijanie chcieliby uczyć niewierzących, aby byli sprawiedliwi wobec chrześcijaństwa, sami powinni być sprawiedliwi wobec niewiary. Na nic zda się prawdzie przemilczanie faktu znanego wszystkim, którzy mają elementarną znajomość historii, że duża część najszlachetniejszej i najcenniejszej

nauki moralnej była dziełem ludzi, którzy nie znali wiary chrześcijańskiej; i nie tylko ich — także tych, którzy ją poznali i odrzucili.

Nie twierdę, że najbardziej nieograniczone korzystanie ze swobody wyrażania wszelkich możliwych opinii położyłoby kres złom religijnego czy filozoficznego sekciarstwa. Każda prawda, której szczerze hołdują ludzie o ograniczonym pojmowaniu, z pewnością zostanie uznana, wpojona, a nawet na wiele sposobów wdrożona w życiu, tak jakby żadna inna prawda nie istniała na świecie — lub przynajmniej żadna, która mogłaby ograniczyć lub zmienić kwalifikację pierwszej. Przysnaję, że tendencja wszelkich opinii do stawiania się sekciarskimi jest nie do uleczenia w najbardziej swobodnej dyskusji — ta często ją wzmacnia i zaostrza. Prawdę, która powinna była być dostrzeżona, lecz nie jest, odrzuca się tym gwałtowniej, gdy głoszą ją ludzie uważani za przeciwników. Atoli nie na zapalczywych stronnikach, lecz na stojących z boku, spokojniejszych i bardziej bezinteresownych obserwatorach ta kolizja opinii wywiera zbawienne skutki. Prawdziwym złem nie jest brutalny konflikt między częściowymi prawdami, lecz ciche tłumienie połowy z nich — gdy ludzie są zmuszeni wysłuchać obu stron, zawsze jest nadzieja. Jeśli poświęcają uwagę tylko jednej stronie, błędy kosztują w przesady, a sama prawda, absurdalnie wyolbrzymiona, przestaje skutkować. A ponieważ nie masz wielu przymiotów umysłu rzadszych niż zdolność osądzania, umożliwiającą zajęcie mądrego stanowiska między dwiema stronami problemu, z których tylko jedna ma przed nią adwokata, prawdzie nie pozostaje nic innego, jak w proporcji do każdej z jej stron, każdej opinii ucieleśniającej jakąś jej część, znajdować nie tylko obrońców, lecz być tak bronioną, że będzie wysłuchana.

Rozpatrzyliśmy zatem na czterech różnych płaszczyznach, że do umysłowego dobrostanu ludzkości (od którego zależy cała jej inna pomyślność) niezbędna jest wolność opinii i wolność jej wyrażania, co obecnie pokrótce podsumujemy.

Po pierwsze, jeśli jakaś opinia zostaje zablokowana, zmuszona do milczenia, może ona — tyle na pewno możemy wiedzieć — być prawdziwa. Zaprzeczenie temu jest równoznaczne z zakładaniem własnej nieomyślności.

Po drugie, mimo że wyciszona opinia jest błędna, może zawierać — i bardzo często zawiera — część prawdy; a ponieważ ogólny lub dominujący pogląd na jakikolwiek temat rzadko lub nigdy nie jest całą prawdą, tylko przez zderzenie przeciwnych opinii daje się prawdzie szansę na uzupełnienie jej o pozostałą część.

Po trzecie, nawet jeśli panująca opinia jest nie tylko prawdziwa, lecz jest całą prawdą, jeśli nie dopuści się do jej zdecydowanej i poważnej krytyki, będzie przez większość tych, do których dociera, traktowana z uprzedzeniem, małym zrozumieniem lub poczuciem jej racjonalnych podstaw. I nie tylko to, ponieważ — po czwarte — znaczenie samej takiej doktryny będzie zagrożone utratą lub osłabieniem i pozbawieniem żywotnego wpływu na charakter i postępowanie. Opinia przeradza się w czczy dogmat, zwykle formalne wyznaczenie, nieskuteczny dla dobra, będący zawadą i uniemożliwiający wzrost jakiegokolwiek prawdziwego i szczerzego przekonania opartego na rozumie lub osobistym doświadczeniu.

Zanim rozstaniemy się z tematem wolności opinii, warto poświęcić trochę uwagi tym, którzy twierdzą, że należy zezwolić na swobodne wyrażanie wszelkich opinii, pod warunkiem że będzie to robione w sposób umiarkowany i nie przekroczy granic uczciwej dyskusji. Wiele można by powiedzieć o niemożności ustalenia, gdzie te postulowane granice powinny się znajdować. Jeśli bowiem ich wyznacznikiem ma być obraza tych, których opinia jest atakowana, to myślę, że doświadczenie potwierdza, iż dochodzi do niej zawsze, gdy atak jest wymowny i silny, i że każdy oponent, który mocno naciera i któremu trudno jest się przeciwstawić, wyda się atakowanym nieumiarkowany, gdy tylko wykazuje silne przywiązanie do sprawy. Jednak z tą uwagą, choć ważną z praktycznego punktu widzenia, łączy się bardziej fundamentalny zarzut. Niewątpliwie sposób wyrażania opinii, nawet jeśli jest prawdziwa, może być nie do przyjęcia i słusznie może się spotkać z surowym potępieniem. Wszakże główną cechą wykroczeń tego rodzaju jest to, że niemal grzebią one możliwość zmiany czyichś przekonania, chyba że wskutek przypadkowej samozdrady.

Najcięższym z nich jest sofistyczne dowodzenie<sup>32</sup>, zatajanie faktów lub argumentów, przeinaczanie szczegółów sprawy lub zakłamywanie opinii przeciwniej. Wszystko to jest jednak czynione — i to nawet w sposób skrajnie irytujący — tak często i w tak niezłomnie dobrej wierze przez ludzi, których nie uważa się, i pod wieloma innymi względami nie zasługują na taką ocenę, za ignorantów lub osoby niekompetentne, przez co do rzadkości należy znalezienie odpowiednich podstaw do sumiennego napiętnowania takich zafałszowań jako moralnie karygodnych. A jeszcze mniej można by doszukiwać się prawnych powodów do ingerowania w tego rodzaju kontrowersyjne nadużycia. Jeśli chodzi o to, co się powszechnie rozumie przez nieutemperowaną dyskusję, a mianowicie: inwektywy, sarkazm, przytyki osobiste i tym podobne, potępienie tych broni zasługiwałoby na więcej uwagi, gdyby ktoś kiedyś zaproponował równorzędne ich zakazanie obu stronom. Oczekuje się wszakże wyłącznie powstrzymywania się od ich użycia przeciw opinii przeważającej; przeciw tym, które nie przeważają, można je stosować nie tylko bez ogólnej dezaprobaty, ale z dużą pewnością używający ich zyska pochwałę za prawą żarliwość i słuszne oburzenie. Jednak możliwe szkody wynikające z ich stosowania są największe wówczas, gdy używa się ich przeciw stosunkowo bezbronnyim; i wszelka nieuczciwa przewaga, którą można zdobyć, stosując takie środki, przypada niemal wyłącznie opiniom utartym. Najhaniebniejszą obrazą tego rodzaju, której można się dopuścić w polemice, jest piętnowanie mających odrębne zdanie jako ludzi złych i niemoralnych. Na tego rodzaju potwarte są szczególnie narażeni ci, którzy mają jakieś niepopularne poglądy, ponieważ jest ich na ogół niewiele, nie mają wpływów i nikt prócz nich nie odczuwa większego zainteresowania, by oddano im sprawiedliwość. Jednak broni tej, z natury rzeczy, odmawia się tym, którzy atakują pogląd dominujący. Nie mogą jej użyć ani bezpiecznie dla siebie, ani — gdyby mogli — nie zrobiłaby nic prócz zadziałania rykoszetem przeciw ich własnemu stanowisku. Uogólniając, opinie sprzeczne z powszechnie przyjętymi mogą zyskać posłuch tylko dzięki wystudiowanej powściągliwości języka i jak najostrożniejszemu unikaniu niepotrzebnych zniewag; odstąpienie od tego, nawet w niewielkim

---

<sup>32</sup> Używanie w dyskusji kłamliwych, naciąganych argumentów, szczególnie jako środek forsowania fałszywych tez; celowe manipulowanie słowami i pojęciami, zabieg stosowany od czasów starożytnych Greków.

stopniu, grozi utratą pozycji. Natomiast nieumiarkowane lżenie stosowane po stronie opinii przeważającej faktycznie odstrasza ludzi od wyznawania poglądów przeciwnych oraz od słuchania tych, którzy je wyznają. Dlatego w interesie prawdy i sprawiedliwości znacznie ważniejsze jest powstrzymywanie się od używania obelżywego języka niż w innych przypadkach; na przykład, gdyby trzeba było wybierać, o wiele bardziej potrzebne byłoby zniechęcanie do obraźliwych ataków na niewiarę niż na religię. Jest jednak oczywiste, że prawo i władza nie mają żadnego interesu w powstrzymywaniu jednego czy drugiego, natomiast opiniujący powinni w każdym przypadku wydawać werdykt na podstawie okoliczności konkretnej sprawy, potępiając każdego — niezależnie od strony, którą reprezentuje w sporze — w czym sposobie obrony przebija albo brak szczerości, albo zjadliwość, bigoteria lub nieposzanowanie uczuć, a nie dopatrywać się tych wad w pozycji, którą ktoś zajmuje, choćby to była strona im przeciwna; i oddawać zasłużony szacunek każdemu — niezależnie od jego opinii — kto posiada opanowanie, aby uczciwie dostrzec i przedstawić sobie, kim są naprawdę jego przeciwnicy i czym są ich opinie, nie wyolbrzymiając niczego, co by ich (i je) dyskredytowało, nie ukrywając niczego, co przemawia lub mogłoby przemawiać na ich korzyść. Oto jest prawdziwa moralność publicznej debaty. A jeśli jest często łamana, to z ukontentowaniem myślę, że jest wielu polemistów, którzy w dużym stopniu jej przestrzegają, i jeszcze więcej tych, którzy wytrwale do niej dążą.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

”

**Większość ludzi przedkłada siłę nad wolność.**

John Stuart Mill

Czym jest wolność indywidualna i jak należy ją rozumieć? Czy wolność to wartość sama w sobie? Jaki jest zakres nienaruszalnej wolności człowieka jako autonomicznej osoby? Jak powinna wyglądać idealna relacja pomiędzy jednostką a społeczeństwem? Jak daleko władze mogą ingerować w wolność jednostki i w którym momencie przesuwanie granic wolności osobistej doprowadza do zastąpienia demokracji anarchią? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań poszukiwał empirysta i utylitarysta John Stuart Mill.

Oddajemy w ręce Czytelników słynny esej pióra jednego z najważniejszych twórców doktryny liberalnej. Zawarte w nim rozważania o różnych obliczach wolności, o prawie do indywidualnego szczęścia i rozwoju, o swobodach obywatelskich wciąż są niezwykle ważnym i dojrzałym głosem w dyskusji o sprawiedliwym państwie i granicach władzy społeczeństwa nad jednostką. Opisany w dziele liberalizm klasyczny wspiera człowieka w rozwoju, zapewnia swobodę myśli i poglądów, a także afirmuje tolerancję i równość wobec prawa. W dzisiejszym świecie jednak łatwo się przekonać, że wolność nie została dana raz na zawsze, a stopniowe doprowadzanie do tego, by ludzie pogodzili się ze zniewoleniem, jest zaskakująco łatwe. Aby pozostać wolnym człowiekiem, trzeba mieć świadomość wolności.

I właśnie dlatego należy uważnie przestudiować ten traktat.

JOHN STUART MILL (1806 – 1873) był angielskim filozofem, politologiem i ekonomistą. Uważa się go za twórcę współczesnego liberalizmu demokratycznego. Dostrzegając, że demokracja sama dla siebie stanowi zagrożenie, i postulował konstytucyjną ochronę podstawowych wolności obywatelskich. Był orędownikiem równouprawnienia kobiet. Od siedemnastego roku życia do emerytury pracował w Kompanii Wschodnioindyjskiej, a w latach 1865 – 1868 był członkiem Izby Gmin brytyjskiego parlamentu.

”

**Lepiej być niezadowolonym człowiekiem niż zadowoloną świnią!**

John Stuart Mill

onepress



Księgarnia internetowa:  
<http://onepress.pl>



HELION SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
onepress@onepress.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-0387-6



książkiklasybusiness

Cena: 49,90 zł